LESZEK PROROK: Niedomagania Literatury Marynistycznej EDMUND MISIOŁEK: O Debiucie Literackim Borowskiego

CENA 20 zł
STRON 10

TYGODNIK WYBRZEŻA

ROK III SZCZECIN, 10 PAŹDZIERNIKA 1948 R. NR 39 (113)

LEONARD BORKOWICZ
WOJEWODA SZCZECIŃSKI

NASZ SOCJALISTYCZNY SOJUSZNIK

I.

Do prasy i publicystyki trafiło wyprowadzenie naszego stosunku do Związku Radzieckiego z geograficznych konieczności i zmian spowodowanych w układzie sił na świecie w wyniku drugiej wojny światowej.

Pogląd ten grzeszy nie tylko jednostronnością, ale wypacza ideowe założenia sojuszu polsko-radzieckiego.

Istnieje przecież zasadnicza różnica pomiędzy pokojowymi i przyjaznymi stosunkami, jakie pragniemy utrzymać z krajami kapitalistycznymi a sojuszem, który łączy nas z krajem socjalizmu. Doświadczenie nauczyło nas czujności wobec kapitalistycznych zakusów na naszą suwerenność państwową i całość naszych granic. To samo doświadczenie wskazuje na Związek Radziecki jako na obrońcę naszej państwowej niezależności i decydujący czynnik w umocnieniu polskości nad Odrą i Nysą. **Nie trzeba nazbyt wielkiej przenikliwości aby zrozumieć, że taki układ stosunków polsko-radzieckich spowodowany jest wspólnymi społecznymi i politycznymi celami. W obu naszych krajach cele te sprowadzają się do jednego pojęcia: socjalizm.**

Postawienie takiego ambitnego celu w naszym Kraju jest możliwe dzięki urzeczywistnieniu socjalistycznego budownictwa w Zw. Radzieckim. Związek Radziecki i Polskę łączą więc więzy podobne do tych, które łączą dwóch budowniczych skomplikowanych maszyn, co wymaga wymiany doświadczeń, pomocy wzajemnej i wszechstronnej współpracy.

Tego rodzaju sojusze istniały już w przeszłości naszego narodu. Szczególnie znamienne są pod tym względem stosunki polsko-francuskie w dobie Wielkiej Rewolucji. Współtwórca naukowego socjalizmu **Fryderyk Engels** w przemówieniu wygłoszonym w 1875 r. na uroczystości w rocznicę powstania styczniowego powiedział, że **„Francuska rewolucja natychmiast znalazła oddźwięk w Polsce. Konstytucja 3 Maja i Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela stały się sztandarem rewolucji na brzegach Wisły, uczyniwszy Polskę awangardą rewolucyjnej Francji".** Dla ludzi majowej Konstytucji nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że rewolucja uczyniła z Francji **sojusznika nowego typu.** Dlatego **Hugo Kołłątaj** pisze, że „gdyby liga monarchów przeciw Francji przemogła, będzie to ze szkodą dla wolności, dla ludzkości, dla oświecenia". **Rewolucja stworzyła nowe, dotąd nieznane formy stosunków pomiędzy narodami.**

Kościuszko obdarzony uchwałą konwencji narodowej honorowym obywatelstwem francuskim omawia w styczniu 1793 r. z przewódcami rewolucyjnej Francji nie tylko plany wojny narodowej w Polsce, ale i formę przyszłych rządów. W przededniu tej wizyty przemawia w konwencji **Wojciech Turski** i składa w imieniu Narodu Polskiego takie oświadczenie:

> **„Francuzi!** zasłużyliście na to, aby zostać sędziami i protektorami narodów. przywracając w jednej chwili dzięki bystrym postępom waszej wzniosłej rewolucji rodzajowi ludzkiemu wszystko to, co mu odebrały wieki barbarzyństwa, przewyższyliście w wielkości wszystkie ludy, które jaśniały na ziemi. Jest to uznanie, które dyktuje nam zarówno prawda, jak i sympatia dla was. Idźcie tą samą drogą, a niebawem oddadzą Wam sprawiedliwość pozostałe ludy".

Wspólność społecznych postępowych ideałów przekuwa formalne sojusze w istotną więź wspólnego, zharmonizowanego wysiłku.

Lenin w rozmowie z żołnierzami Armii Radzieckiej. Rys. P. Wasiljew

II.

Są pewne słowa, które mimo że często powtarzane jak najrozmaiciej są rozumiane. Tak jest ze słowem **socjalizm.**

Zw. Radziecki nadał temu pojęciu po raz pierwszy żywą, trwałą istniejącą w życiu treść. **Stworzył on ustrój, w którym, na gruncie wspólnego władania środkami wytwórczymi usunięto wyzysk jednej klasy przez drugą i przyswojenie sobie przez jednych wytwórców pracy drugich.** Socjalizm nie wyskakuje rzecz prosta jak Minerwa z Głowy Jowisza, lecz rodzi się w bólu i męce i długo jeszcze niesie na sobie piętno, przywary i wszystkie ujemne cechy ustroju kapitalistycznego, z którego się zrodził. Budownictwo socjalistyczne nie jest więc sielankowym skokiem z królestwa nędzy i upodlenia do czasów mlekiem i miodem płynących, lecz uciążliwym i jedynie możliwym procesem zaciekłej walki nowego ze starym, sił postępu z wstecznictwem o pełny dobrobyt i społeczną sprawiedliwość.

Niezwykła żywotność i siła marksizmu polega właśnie na tym, że jest on wytworem nie oderwanych od rzeczywistości marzeń, lecz naukowego przewidywania. **„Cała teoria Marksa— pisał Lenin — jest zastosowaniem teorii rozwoju — w jej najbardziej konsekwentnej, pełnej, przemyślanej i bogatej w treści formie — do współczesnego kapitalizmu. U Marksa nie ma ani cienia próby tworzenia utopii, wróżenia tego czego wiedzieć nie można. Marks stawia zagadnienie komunizmu tak jak przyrodnik postawiłby zagadnienie rozwoju nowego, powiedzmy biologicznego rodzaju, o ile wiemy, że on tak a nie inaczej powstał i w takim a nie innym określonym kierunku przemienia się".**

Dla ludzi „złotego środka" i amatorów łatwych zwycięstw to związanie pojęcia „socjalizm" z pojęciem „walka" stanowi oczywiście największy kamień obrazy. Dla nas decydujący jest fakt, że Związek Radziecki w ciągu trzy-

LENIN
O WOLNOŚCI PISARZA

„...panowie burżuazyjni indywidualiści, pozwólcie sobie powiedzieć, że wasze słowa o absolutnej wolności — to sama obłuda. W społeczeństwie opartym na władzy pieniądza, w społeczeństwie, w którym masy pracujące żyją w nędzy, a garstka bogaczy prowadzi życie pasożytnicze, nie może istnieć prawdziwa i rzeczywista „wolność".

Czy nie krępuje Pana pański burżuazyjny wydawca, panie pisarzu? Pańska burżuazyjna publiczność, która żąda od pana pornografii w oprawie i w obrazach, prostytucji w postaci „dodatku" do „świętej" sztuki scenicznej? Przecież ta absolutna wolność jest burżuazyjnym lub anarchicznym frazesem (albowiem anarchizm jako światopogląd jest przenicowaną burżuazyjnością). Żyć w społeczeństwie i być wolnym od społeczeństwa nie można. Wolność burżuazyjnego pisarza, artysty, aktorki jest tylko zamaskowaną (lub obłudnie maskowaną) zależnością od kiesy, od przekupstwa, od utrzymania.

I my, socjaliści, demaskujemy tę obłudę, zrywamy fałszywe szyldy, nie po to, aby uzyskać ponadklasową literaturę i sztukę (to będzie możliwe dopiero w socjalistycznym bezklasowym społeczeństwie), lecz dlatego, aby literaturze pozornie wolnej, a w istocie związanej z burżuazją, przeciwstawić literaturę naprawdę wolną, jawnie związaną z proletariatem. Będzie to wolna literatura dlatego, że nie zysk i nie kariera, lecz idea socjalizmu i współczucia ludowi pracy będzie werbowała coraz to nowe siły do jej szeregów. Będzie to literatura wolna dlatego, że będzie służyła nie przesyconej bohaterce, nie znudzonym i cierpiącym z nadmiaru tłuszczu „górnym dziesięciu tysiącom", lecz milionom, dziesiątkom milionów ludzi pracy, którzy stanowią kwiat kraju, jego siłę, jego przyszłość. Będzie to literatura wolna, zapładniająca ostatnie słowo rewolucyjnej myśli ludzkości doświadczeniem i tętniącą życiem pracą socjalistycznego proletariatu, stwarzającą stałe oddziaływanie wzajemne pomiędzy doświadczeniem przeszłości (socjalizm naukowy, który uwolnił rozwój socjalizmu od jego prymitywnych, utopijnych form) a doświadczeniem teraźniejszości (teraźniejsza walka towarzyszy robotników).

Z artykułu „ORGANIZACJA PARTYJNA A LITERATURA PARTYJNA".

Napisane w 1905 r.

DZIEŁA: t. VIII, str. 386.

dziestu lat swego istnienia nie tylko zbudował ustrój socjalistyczny, ale i w praktyce wykazał wyższość tego ustroju nad wszystkimi dotychczasowymi. Dla nas najbardziej przekonywującym dowodem słuszności drogi, po której kroczy ZSRR jest wydźwignięcie mas ludowych, mas szarych ludzi dawnej Rosji do roli gospodarzy swego kraju.

III.

Prawdziwa demokracja oznacza nie tylko wysuwanie robotników i chłopów na stanowiska rządzące, ale przede wszystkim stworzenie takich warunków, w których najszersze warstwy ludowe z fabryk, hut i chłopskich chałup biorą udział w rządzeniu. **Chodzi o takie społeczeństwo, w którym wszyscy obywatele powołani są, jak powiedział Lenin, „do stałego, opartego na obowiązku i przy tym decydującego udziału w demokratycznym rządzeniu państwem".**

Budowa takiego typu demokracji, której nawet wyobrazić sobie nie można w najbardziej „postępowych" krajach kapitalistycznych jest możliwa tylko na gruncie stałej likwidacji przeciwieństwa pomiędzy pracą umysłową i fizyczną.

W ZSRR zostały gruntownie poderwane korzenie przeciwieństwa między pracą umysłową a fizyczną. Stachanowiec i przodownik pracy w ZSRR to już nie poprostu robotnik, a robotnik, w którego pracy codziennej łączą się elementy zarówno wysiłku fizycznego jak i umysłowego. A stachanowców i przodowników pracy w mieście i na wsi liczy Związek Radziecki setki tysięcy i oni to stanowią czołowy oddział rządzących ZSRR robotników i chłopów. Bolszewicy ze Stalinem na czele konsekwentnie realizują wskazania Lenina, że **„za wszelką cenę trzeba doszczętnie wykorzenić stary, niedorzeczny, potworny, nikczemny i plugawy przesąd, jakoby rządzić państwem, jakoby rządzić organizacyjnym budowaniem społeczeństwa socjalistycznego mogły tylko t. zw. „klasy wyższe", tylko bogacze, albo ci, którzy przeszli przez szkołę klas bogatych".**

Na tym tle zrozumiałe są stałe, codzienne przejawy krytyki, jaką posługują się w Związku Radzieckim w równym stopniu zawodowy polityk jak i szary człowiek i to w stosunku do wszystkich.

IV.

Właściwą podstawą nowych stosunków między człowiekiem a społeczeństwem w kraju socjalizmu jest społeczna własność środków produkcji. Miejsce konkurencji zajęła praca oparta na współdziałaniu i towarzyskiej pomocy. Dlatego wzrost sił produkcyjnych idzie w ZSRR nierozerwalnie w parze z wszechstronnym rozwojem indywidualności ludzkiej. Jeden z francuskich pisarzy opisał następującą scenę. Bohaterowi powieści udało się otrzymać pracę u Forda. Badającemu go lekarzowi oświadcza, że jest człowiekiem wykształconym i studiował nawet medycynę. Lekarz odpowiedział mu krótko: „Wykształcenie tutaj na nic panu się nie przyda. Pan nie przyszedł tutaj aby myśleć, lecz poto, aby wykonywać ruchy, których Pana nauczą. W fabryce nie potrzebujemy ludzi z wykształceniem. Potrzebujemy szympansów, a myśleć za Pana będą inni".

Tak wygląda „wolność" w społeczeństwie kapitalistycznym.

Stały wzrost dobrobytu mas pracujących stał się prawem rozwojowym socjalistycznym społeczeństwa ZSRR.

Takie społeczeństwo musiało na swoich sztandarach wypisać hasła pokoju. Z takim społeczeństwem Kraj nasz znajduje się w braterskim sojuszu wspólnego wysiłku i wspólnej walki. Jasne, że jest to sojusz nowego typu.

LEONARD BORKOWICZ.

LEON SZECHTER

Z PAMIĘTNIKA MOJEGO PRZYJACIELA

Wołga. W poświacie księżyca połyskują fale spokojnie płynącej rzeki. Upalna, letnia noc. Jedna z tych letnich nocy, kiedy pod stopami wyczuwa się rozpaloną ziemię, a na twarzy czywczy chłód rzeki, unoszony niewyczuwalnym prawie prądem powietrza. Czerń nocy poprzecinana blaskiem miedziano - złotej kuli, zawieszonej w przestworzach. Podziwiam przyrodę i dreszcz zachwytu przepływa, jak prąd, po ciele.

Przy mnie, w wojskowym mundurze, — Wiera Gawryłówna. Nie przerywa mojej zadumy. Smętnym wzrokiem wodzi po niebie z wyrzutem, że ta wielka, lśniąca kula daje tyle blasku. Spojrzenia nasze krzyżują się. Rozumiem... Chciałaby zaciemnić księżyc, by wrogim samolotom utrudnić akcję nad jej ukochanym miastem — Saratowem.

Bezwiednie nasze ręce łączą się. Słowa są niepotrzebne. Rozumiemy się. Nie przerywamy milczenia, tylko wzrokiem i uściskiem rąk wypowiadamy po raz setny nasze uczucia. Za chwilę mamy się rozstać.

Wiera idzie na placówkę... Jest w baterii przeciwlotniczej. Każde nasze spotkanie — to nowa opowieść kobiety - żołnierza, walczącej z latającymi, brzęczącymi motorami. Ta praca wyrobiła w niej słuch doskonale reagujący na najsłabszy szmer. A wzrok jej chwyta w przestworzach najdrobniejszy punkt. Spoglądając na nią podziwiam jej młodzieńczą twarz, pełną zadumy i zdecydowania. Blond włosy, o odcieniu przepalonej słońcem słomy. Urok dziewczyny stepu. Wszystko w niej jest miłe: i postać i duże, niebieskie, koloru chabru oczy i głos jakby aksamitny. Porywa swą młodością, rwącą się do wrażeń, — do poznania tajemnic życia. Z zawodu artystka. Kocha pieśni i taniec. Wnosi z sobą zapach kwitnącego życia. Jest mi dziś bliższa, niż zazwyczaj.

Czy piękno przyrody, czy upalna, letnia noc, czy świadomość, że za chwilę odejdzie na pozycję, są przyczyną mego roztkliwienia — nie wiem. Wiem, że czuję w sobie taką potęgę uczucia, jaką czuję człowiek, zrozumiawszy cel swego istnienia.

— Czas nadszedł — przerywa nasze milczenie Wiera — łódź zbliża się. I poczyna nucić pieśń — „tiomnaja nocz..." która zlewa się z ledwo dosłyszalnym chórem nadpływających.

Jeszcze jeden uścisk dłoni i łódź unosi ją na przeciwległy brzeg rzeki.

— Do swidanja... jak gdyby z fal dobiegają mnie słowa odjeżdżającej.

*

Rzeczywistość wraca. Szybko skierowuję kroki w kierunku miasta. Patrole co krok. W mieście jest stan wojenny.

W nocy budzi mnie huk pękających pocisków, dział przeciwlotniczych.

Zdaje mi się, że odróżniam pociski baterii dowodzonej przez Wierę, i że widzę utkwiony w przestworza wzrok doświadczonego strzelca - kobiety.

I jestem dziwnie spokojny. Wierzę. Jeśli takich jak ona jest więcej — nalot będzie szybko odparty.

Rzeczywiście — po kilku minutach wszystko ucicha. Syreny zachęcają do spokojnego snu.

W fabryce, gdzie pracuję — gorączkowy ruch. Stalingrad przeżywa właśnie swoje historyczne dni. Tragedia i śmierć triumfują. Wróg jeszcze pełen sił — atakuje coraz intensywniej.

Setki samolotów — zda się zawisły w powietrzu, by bez przerwy, — dzień i noc — siać spustoszenie.

Trzeba przyjść z pomocą oblężonemu miastu.

Bezpośredniego połączenia kolejowego ze Stalingradem nie ma.

Robotnicy fabryki na zebraniu uchwalają ułożyć tory w przyśpieszonym tempie i stworzyć nową arterię komunikacyjną, zasilającą miasto nieśmiertelnych bojowników o wolność i honor Związku Radzieckiego i całej cywilizowanej ludzkości.

Przez cały dzień wprzągnięty jestem w wir życia fabrycznego. Czuję, że jestem na posterunku, że każdy krok, każdy rozkaz, — to właściwy akord w tej potężnej symfonii pracy.

Brygady młodzieżowe z pieśnią na ustach śpieszą przez podwórze fabryki, by za chwilę zniknąć w dużych halach. Ci roześmiani młodzieńcy kują, szlifują, toczą, mierzą i badają. Obok grupa dziewcząt przy skomplikowanych maszynach. Zda się, że urodziły się do tej pracy.

Uczenice, które wojna powołała na front pracy, spełniają swój obowiązek z powagą i zrozumieniem.

Jakiś poemat rytmu, gry muskułów i mózgów unosi się w powietrzu. Jest coś zadziwiającego w każdej twarzy. Zaciekłość i pośpiech. Świadomość ważnego czynu. I celu. Front żąda. Dużo. Szybko. Natychmiast.

O 16-ej wyruszam z brygadą na budowę linii kolejowej. Pracujemy do zmierzchu. W naszych oczach rośnie nasyp jak na drożdżach. Za nami brygada układa już podkłady, słychać stuk młotów... Tor będzie ułożony. Stalingrad będzie zaopatrzony!

Dziesięć dni i dziesięć nocy bez przerwy nie wychodzę z biura. Jakaś gorączka pracy opanowuje mnie i wielu innych. Śpię na dobę godzinę, może dwie, — na biurku, z książką pod głową zamiast poduszki. Nie czuję wyczerpania. Tylko spieczone wargi i wyschnięte gardło przypominają o potrzebie odpoczynku.

Po tylu dniach wytężenia czuję dziś tęsknotę do łóżka i domu.

Radio przynosi znów złą wiadomość: wróg rzuca coraz większe siły na Stalingrad.

Jestem w kraju, — rozmyślam — którego symbolem jest praca, gdzie godność ludzka przestała cierpieć. Przemiany ekonomiczne i społeczne wydobyły skrzywdzonych z suteryn i poniewierki.

Człowiek pracy zdobył swe właściwe miejsce; nie rasa, wyznanie, czy pochodzenie stanowią tu o wartości człowieka, a jego zdolności i praca.

Przybyłem z Polski. Przeszedłem różne stadia pracy. Tu zrozumiałem, jaki jest cel życia: — twórcze praca osobista dla dobra ogółu. I praca ogółu dla dobra jednostki.

Dlaczego młody, tętniący pełnią życia kraj lepszego jutra nękany jest przez zmurszały ustrój wyzysku i pogardy człowieka pracy?

Czy wielkie dzieła ludzi i społeczeństw muszą zawsze powstawać w krwawym porodzie?

Kiedy ziszczą się słowa Engelsa: **„nadejdzie czas, kiedy zamiast historii wojen będziemy pisali historię kultury".**

Zasypiam. Silna kanonada dział przeciwlotniczych wywołuje senne majaczenia: Jakaś niezgrana orkiestra przykłada smyczki do strun, ale zamiast ulubionych dźwięków, słyszę silne bicie w bębny... głos wwierca się w mózg... defilują przede mną robotnicy... Wiera.. księżyc kąpie się w Wołdze... jacyś ludzie unoszą się na skrzydłach i każdy z nich wali w bęben... Czuję, że duszę się....

Budzą mnie promienie słońca.

I znów jestem na posterunku, jak wczoraj. Fabryka żyje wiecznie młodym, płodnym życiem pracy. Jestem wesół i rześki. Spałem przecież dwanaście godzin — całą noc. Znam wartość snu. Wierzcie mi — sen pokrzepia nie tylko ciało, ale i duszę.

Wieczorem nowina. Przybył na samolocie z frontu major lotnik, by podzielić się wiadomościami z kolektywem, w którym pracował przed wojną.

Sala nabita po brzegi ludźmi. Spokojnie brzmi głos lotnika. Bez patosu, bez samochwalstwa. Rzeczowo mówi o wielkich czynach żołnierzy, tych do niedawna robotników — jakby mówił o obróbce metalu na tokarce.

— „Jesteśmy otoczeni. Walczymy o każdy krok. Odbijamy nie tylko ulice i domy, ale poszczególne pokoje... Bój o Stalingrad, to bój decydujący — dalej cofać się nie ma dokąd. I nie cofniemy się".

Cisza na sali uroczysta. Nikt nie chce uronić ani słowa Z zapartym tchem słucham.

— „Wy, moi przyjaciele, — ciągnie dalej — ta fabryka, w której się wychowałem i gdzie wstąpiłem do komsomołu — oto najdroższe, co posiadam. Trzy godziny temu z samolotu burzyłem miasto budowane przez nas, ale w gruzach jego pogrzebałem dużo niemieckich hien. Przyleciałem prosić was, byście jeszcze ofiarniej, jeszcze więcej produkowali broni, od której zależy zwycięstwo. Nasza krew i życie, wasz pot i siły — złączone w jednym wysiłku, dadzą zwycięstwo.

Wczoraj w nocy nad Saratowem, podczas nalotu około 30 samolotów nieprzyjacielskich, został strącony as lotnictwa niemieckiego. Dokonała tego bateria przeciwlotnicza, której komendantem jest Wiera Gawryłowna..."

Więcej nie słyszałem... Serce podskoczyło mi do gardła. Więc ona?... Wiera?...

Skończył. Podchodzę do niego. Ściskam jego dłoń, jak dłoń brata. Pytam czy ją zna. Nie. Nie zna. Ale jedzie do niej, by jej i jej oddziałowi podziękować za ten wspaniały wyczyn. Wtajemniczam go w naszą znajomość. Obiecuje oddać pozdrowienia, a na pożegnanie rzuca: — Wiera napisze ze Stalingradu.

Odleciał z powrotem na front.

Kontakt z Wierą zrywa się. Dni mijają jedne podobne do drugich. Praca bez przerwy: dzień i noc. Zamknięty w sobie staje się ponury, małomówny. Praca pali się w rękach.

Nastają dni decydujące — coraz więcej pociągów, naładowanych śmiercionośnym materiałem sunie po nowo ułożonych torach. Dostawa żywności do fabryki — coraz trudniejsza, wskutek przeciążenia torów pociągami, przeznaczonymi dla frontu.

Wyjeżdżam, jako zastępca dyrektora fabryki, po żywność do majątku ziemskiego. Przeprawa przez Wołgę, potym 70 kilometrów samochodem, ładowanie na barki produktów i powrót w nocy, pod obstrzałem samolotów — do fabryki. Jest żywność — jedna troska mniej. Sekretarz organizacji partyjnej i przewodniczący związku zawodowego ściskają mi dłoń.

Dyskusja nad planem pracy na dzień jutrzejszy trwa do późna w nocy. W ciszę naszego pokoju, naelektryzowaną napięciem naszych nerwów, wkrada się jak złowrogi syk węża — głos radia: — „Wróg rzucił nowe siły na Stalingrad. Lotnictwo niemieckie..." Wychodzimy w milczeniu. Każdy z własnym światem myśli i uczuć. I znów jedna z wielu nocy trwogi, pożarów, rannych i zabitych.

Tej nocy nasza fabryka przeżywa tragedię. Odwożę sześciu młodych towarzyszy do szpitala. Polegli na froncie pracy. Ale fabryka nie stanęła. Produkcja nie została zmniejszona. Już na drugi dzień usunięto ślady zniszczenia. Przystąpiono do remontu maszyn. Uzupełniono urządzenia.

Tyko sześciu młodych bohaterów nie ujrzy więcej fabryki i słońca.

Nie danym im było doczekać się zwycięstwa. I nie tylko im. Ginęli wartościowi ludzie, dokazując przed śmiercią czynów wspaniałych.

Czy należy ich podziwiać, czy tylko rozumieć?

Rozumieć — wiedzieli o co walczą.

Wiedzieli, że swoimi piersiami bronią nie tylko swej ojczyzny, ale świat cały przed zagładą. Bolesna jest strata człowieka. Rozum buntuje się przeciwko śmierci. Zwłaszcza, gdy śmierć jest narzucona. Hordy najeźdźców niosą zniszczenie i śmierć. W imię jakiej prawdy — panowania? W imię takiej prawdy wygrać nie można. W imię takiej prawdy można tylko niszczyć i zabijać.

Jestem wezwany do szpitala wojskowego. Pędzę. Tysiące trwożnych myśli trzepoce się w głowie; odpędzam je jak natrętne osy. Boję się przekroczyć próg szpitala. Brat?...Przyjaciel?... Wiera?...

Nie, to być nie może, za młoda, za wcześnie. Nie spełniła jeszcze swojego zadania...

Nie wiem jak to się stało, ale nagle znalazłem się w otoczeniu ludzi wojskowych o poważnych, jakby zażenowanych twarzach. Straż honorowa przy dziale lotniczym na mój wzrok pełen wyrzutu wypręża się jeszcze bardziej.

Podchodzę. Ona — Wiera... Taka, jak wtedy nad Wołgą. Usta rozchylone, jakby chciały rzec — „do swidanja..." Pierś ozdobiona medalami.

Przed majestatem śmierci nie załamuję się. Staję na baczność i oddaję hołd cicho, poważnie, uroczyście...

Zginęła pod Stalingradem. Sprowadzono ją do rodzinnego miasta. Cmentarz w Saratowie wzbogacił się o jeszcze jedną mogiłę. Długo stałem nad grobem...

W uszach brzmiały jeszcze dźwięki żałobnego marsza i odgłos salwy honorowej. Pochowano młodą dzewczynę — bohatera.

O zmierzchu wróciłem do domu. Zostawiłem na cmentarzu część swojej istoty. Coś we mnie pękło, coś się załamało. Poczułem pustkę, pustkę w persi i ból. Ból który może udusić. Zrozumiałem przez tę jedną noc więcej, niż przez całe dotychczasowe życie.

I nauczyłem się nienawidzieć.

Zwycięskie wojska radzieckie w śmiertelnym uścisku stalingradzkim zdusiły teutońskie pułki, marzące o panowaniu nad światem.

Zwycięstwo za zwycięstwem towarzyszy odtąd czerwonej armii, która wieńczy swój triumfalny pochód zatknięciem sztandaru nad Berlinem.

Czerwiec 1946. Wołga. Upalna jasna noc. Fale skrzą tysiącami iskierek — to odblask migających gwiazd i świateł z przepływających statków. Rzeka nuci swoją wieczną pieśń.

Z kołyszących się statków dolatują wesołe śpiewy, śmiech, melodie wygrywane na harmoniach. Wołga żyje swoim życiem i swoją pieśnią.

W powietrzu unosi się radość.

Motorówki przewożą roześmiane dziewczęta na drugi brzeg. Tam — tańce i zabawa. Gwarno. Życie tętni jak dawniej. Lata wojny jakby utonęły w nurtach fal. Lekko mi na duszy, a smętno. Tyle wspomnień, związanych z tym miejscem.

Przyszedłem pożegnać Wołgę. Wbić w swoją pamięć jej piękno i unieść ze sobą. Jutro wracam do Polski.

Z zamyślenia wyrywa mnie postać lotnika, która jakby spod ziemi wyrosła przede mną. To on. Bohater stalingradzki — znajomy z fabryki. Pierś ozdobiona medalami. Bez nogi. Oparty o laskę. Uścisk dłoni długi, serdeczny. Z rozmowy dowiaduję się, że Wiera umarła na jego rękach.

Podałem mu książkę, podarowaną mi przez Wierę. Był to ilustrowany przewodnik po Moskwie. Często nosiłem ją z sobą, chodząc na spacery.

Otwiera ją. Na okładce jest zdjęcie i dedykacja: — „Niech mój skromny podarek przypomni ci ludzi, z którymi przeżyłeś surowe dni wojny.

mojej ojczyzny — Moskwę, niezwyciężoną i przepiękną, tak jak ja ją kocham. Przejdą lata i ty u siebie w ojczyźnie wspominać będziesz daleką i obcą Ci Kiedyś Rosję, która potym stała się dla ciebie zrozumiałą i bliską, i kobietę, z którą spędziłeś dużo wieczorów razem i której podarowałeś wiele pięknych, niezapomnianych chwil".

— Wiera spoczywa na cmentarzu centralnym — przerwałem milczenie, gdy zwrócił mi książkę — poznasz jej grób. Ogrodziłem go żelaznym parkanem i pomalowałem na czerwono. W lecie wśród zielonych krzewów skrzy się, jak wiązanka rozkwitłych maków, w zimie odbija się od białego całunu śniegu jak krwawy wyrzut, rzucony sumieniu świata.

— Wracasz do kraju — przerwał. Zamyślił się i dodał — Mów o nas tam, to co widziałeś. Jeśli potrafisz oddać prawdę naszego życia, zdobędziesz nagrodę za doświadczenia i ból, które przeżyłeś. Na grób Wiery będę chodził w każdą rocznicę jej śmierci, a wiązankę maków składać będę od ciebie. Szczęśliwej drogi.

Po dwóch tygodniach przekroczyłem granicę. W kraju dowiedziałem się o stracie moich najbliższych. Nikt nie został. Z pięciu osób ani śladu. Nawet grobu. I nie wiem, gdzie go szukać. Czy w wspólnej mogile tysięcy zamordowanych, czy w rozrzucanym po nieznanych mi polach, czy w dziko rosnących trawach, lub szlachetnych zbożach, wyrosłych na ich zwłokach?

Odnalazłem tylko jedno: różnicę między „dzikim wschodem", a przeraźliwym zniszczeniem przyniesionym tu przez „cywilizowany zachód". Tam — prawdę i twórczą pracę, tu — zakłamanie i śmierć.

Pozostały mi zaś tylko wspomnienia i bolesne spacery po cmentarzu własnych przeżyć.

Czuję dziś w sobie dumę, że w tych ciężkich dniach wojny nie stałem na uboczu, że byłem częścią społeczeństwa, które swą pracą przyczyniło się do zwycięstwa dobra nad złem.

Wspominam z miłości przeszłość, która dała mi tyle doświadczenia i wiary w ludzkość.

Z tragicznych przeżyć świat nie do tego zmierza, by szamotać się we własnych więzach.

Ludzkość odnalazła już drogę, — już wie jak żyć.

Tym wszystkim, którzy jeszcze błądzą, przypomnę słowa Majakowskiego:

„Kto tam znów rusza prawą?
Lewa!
Lewa!
Lewa!"

LEON SZECHTER

S. P. SZCZIPACZOW

Nieszczęście, krzywda były tu bezdenne,
Droga posępna, zdeptana przez ból
W kraju, gdzie polskie madonny kamienne
Z niemowlętami w ręku strzegły pól.

Patrzały w przestwór sielskich pól rodzinnych,
Gdzie się za sochą szczupłe skiby rwą,
Jedyne w Polsce matki, którym nigdy
Nieszczęście oczu nie mąciło łzą.

Przełożył SEWERYN POLLAK

M. L. MATUSOWSKI

Akacje Warszawy

Kiedy akacje Warszawy wspominam,
Naraz przed wzrokiem mym wstaje, pamiętam,
Ten letni wieczór i to miasto w ruinach
Milczeniem buntowniczym ogarnięte.

Ulica otworzyła drzwi na rozcież
i wszystkie okna patrzą mi wprost w oczy,
Przez balustrady żelazne na moście
Drżenie wybuchów po dziś dzień się toczy.

W tych domach już osiedlić się zdążyły
Na granitowych kolumnad wzniesieniach
Jakieś potworne ptaki, które żyły
W odległych i wymarłych pokoleniach.

Czyż moja wina, że przez lata cztery
Mój wiersz jednemu obrazowi służy:
Okna bez szyb i schody bez bariery,
Piętrzące się ponad ulicą gruzy.

Gdziebym nie poszedł, idzie za mną bliska
W chwilowej ciszy, pośród prac spokojnych
Owa słodkawa, zła woń popieliska —
Tak nieodłączna od pierwszych dni wojny.

Posągi z swoich nisz wychodzą nocą.
Falą wybuchu oderwana z dachów,
Jak zardzewiałym zębem zgrzyta blacha,
Po pustych rynnach krople dżdżu grzechocą.

I tylko auto, kiedy plac przecina,
Na mgnienie wyrwy śród murów oświeca
I znów, jak przedtem, po pustych ulicach
Z sobą rozmawia echowa godzina.

Powróćmy do akacyj... W ich kwitnieniu
Zmartwychpowstaje tego miasta sprawa.
W czerwcowy dzień w ich zawsze żywym cieniu
Schronienie sobie znajduje Warszawa.

Po to jedynie chyba ocalały,
By świadczyć, że nie wszystko jest spalone,
Że odbudowy pył ślady obstrzału
Przesłoni jak listowie ich korony.

Przejrzysta, jasna noc nad nimi staje,
A one same podobne do cieni.
Na rumowisku ze szkła i kamieni
Kwitnienie ich niezwykłym się wydaje.

Pod wiatru tchnieniem cienkie pnie dygocą.
Choć słabe, chociaż kora ich chropawa,
Lecz tu, pomiędzy ruinami, nocą
Od drzew tych znów zaczyna się Warszawa.

MICKIEWICZ I PUSZKIN

Pismo na Sybir

W głębinie syberyjskich rud
Wytrwajcie dumni, niezawiśli.
Nie zginie wasz bolesny trud
I lot wysoki waszych myśli.

Nadzieja, siostra nieszczęśliwych,
Rozproszy kiedyś mroczny cień
I zbudzi rześką radość w żywych.
Nadejdzie upragniony dzień —

Miłości światło i przyjaźni
Dojdzie was przez ponurą noc,
Jak do katorżnej waszej kaźni
Mój wolny dziś dochodzi głos.

Okowy swe rzucicie precz,
Runą ciemnice, brzask zaświta,
Wolność na progu was przywita
I bracia wam oddadzą miecz.

ALEKSANDER PUSZKIN
Przełożył JULIAN TUWIM

*

Adam Mickiewicz przybył po raz pierwszy nad Newę dnia 6 listopada 1824 roku.

Petersburg wywarł na młodym poecie silne wrażenie. W pięknym wierszu opiewa miasto, jego długie ulice. „Wszystkie" — jak się wyraża z pewną poetycką przesadą — biegnące ku Newie „szerokie , długie, jak wąwozy w górach".

Jeszcze w ciągu tej samej zimy 1824—1825 roku, pierwszej swej zimy rosyjskiej, Mickiewicz poznał Kijów, Odesę i Charków. W ciągu następnego lata 1825 roku odbył brzemienną w skutki poetyckie podróż na Krym. Jesienią tego roku staje po raz pierwszy w Moskwie.

I rzecz ciekawa: ów prześladowany przez carskie władze polski student wileński, później kowieński profesor, ów rodzący się już wielki, patriotyczny duch poezji polskiej, nienawidzący carskiego systemu ówczesnego państwa rosyjskiego — nie czuje żadnej niechęci do rosyjskiego narodu; owszem, z licznymi jego przedstawicielami nawiązuje bliskie stosunki, a z niektórymi i serdeczną przyjaźń.

Wspaniała przyroda rosyjska zachwyca go szczerze i jest dla niego źródłem poetyckich natchnień. Ten wielki duch słowiańskiej poezji w krymskich stepach oczyma swej duszy widzi obraz swojej ojczyzny i słyszy daleki jej głos.

Przyjaźnie zawierane z ludźmi i naturą wyrażą się kiedyś w wykładach i w dojrzałych poglądach społeczno-politycznych profesora literatur słowiańskich paryskiej Sorbony. Mickiewicz głosić będzie wielkość idei zjednoczonej Słowiańszczyzny, jedynie zdolnej stawić tamę zalewowi germańskiemu we wschodniej Europie, nowy symboliczny Grunwald, w którym „idealne dążenie urzeczywistniać się poczne", gdy „Polak, Czech, Rosjanin poczuje, że do ojczyzny swojej przez wzajemną jedność się zbliża".

W kwietniu 1827 roku czasopismo **„Telegraf Moskiewski"** zamieściło „Sonety Krymskie" Mickiewicza w tłumaczeniu poetycką prozą na język rosyjski przez Wiaziemskiego. Tłumacz, który znał Polskę i język polski, opatrzył utwory Mickiewicza własnym wstępem, w którym zawarł ogólne uwagi o potrzebie politycznego i kulturalnego porozumienia Rosji z Polską.

Pierwsze utwory Mickiewicza wydrukowane po rosyjsku zwróciły na niego uwagę Puszkina, który słyszał już o polskim romantycznym i wolnościowym, pokrewnym sobie duchowo, poecie.

Mickiewicz, który od czasów wileńskich umiał po rosyjsku, znał w oryginale utwory Puszkina. Zachwycał się ich formą i duchem.

Toteż nie można się dziwić, że gdy poznał Puszkina w domu swoich przyjaciół, Polewych, oczarowany był jego osobą i umysłowością.

Pisał wtedy, w marcu 1827 roku, do Odyńca: „Puszkin dowcipny i porywający w rozmowie... czytał wiele i dobrze... o poezji ma czyste i wzniosłe pojęcie". Kreślił przyjaciołom swoim zadziwiający portret osobisty i duchowy Puszkina. I nic dziwnego, że w słowach pełnych entuzjazmu odzywał się największy polski poeta o największym poecie rosyjskim. Obydwaj bowiem, Mickiewicz i Puszkin byli ludźmi „czystymi" i „wzniosłymi", jako narodowi patrioci i jako wielcy twórcy narodowej poezji.

Obydwaj też, od pierwszej chwili wzajemnego poznania się, nie poczuli do siebie żadnej zawiści lecz przeciwnie — wzajemną, osobistą i narodową przyjaźń. Przyjaźń ta złączyła Mickiewicza i Puszkina na zawsze, w jednakowym pojęciu służby swojemu narodowi przez sztukę, w jednakowym ujęciu ideałów społecznych i kulturalnych, w jednakowym dążeniu, aby stać się twórcami w pełni narodowymi, to jest aby cały lud polski i cały lud rosyjski czytał ich dzieła i aby te dzieła rozumiał i uważał je za obraz swoich własnych przeżyć, spraw i dążeń.

W dziełach Mickiewicza, jak i w dziełach Puszkina, pulsuje mocno owa nuta ludowości, a nade wszystko wspólne obu wieszczom i ich narodom — polskiemu i rosyjskiemu — tak silne uwydatnienie ideałów społeczno-politycznych: wspólne umiłowanie idei wolności i demokracji. Były to ideały wspólne twórcy „Ody do młodości" i „Ody do sztyletu", „Sonetów Krymskich" i „Fontanny Bakczysarajskiej", „Dziadów" i „Orędzia do Piotra Czadajewa", „Grażyny" i „Rusłana i Ludmiły", a także „Pana Tadeusza" i „Eugeniusza Onegina"; ideały wspólne nie tylko obydwu poetom, jako pod wieloma względami duchowo sobie pokrewnym twórcom słowiańskim, ale i ich narodom.

Młoda generacja rosyjska marzyła już bowiem wtedy o zerwaniu z przemocą i niewolą caratu. Duch wolności i demokracji był wspólny młodzieży polskiej i rosyjskiej, wspólny rosyjskiemu i polskiemu poecie.

Puszkin i Mickiewicz, to jak wnikliwie określa siebie i Puszkina polski wieszcz — „przewodnicy narodowego sumienia" narodu polskiego i rosyjskiego.

Stąd ich nie tylko poetycka, ale i duchowa, nieprzemijająca wielkość, obaj bowiem wyrażają najpełniej i najlepiej charakter narodowy swojej ojczyzny i uosabiają w pełni ideały wolnościowe swoich narodów.

STANISŁAW BRZEZIŃSKI

LEONID SOBOLEW

BAŚNI GRUZIŃSKIE

W ciągu ostatnich pięciu dni w łodzi podwodnej prawie nie spano. Północny sztorm dął jak w komin w tę, ściśniętą skałami, długą zatokę. Rozkołysane fale zmąciły lodowatą wodę do najtajniejszych głębin i łodzi w żaden sposób nie udawało się osiąść na gruncie, aby ludzie mogli zjeść coś gorącego i wyspać się. Przy każdej próbie łódź uderzała o kamienie, lub była wyrzucana na powierzchnię potężną falą głębinową.

Ale na górze oczekiwał mróz. Wszystko, co wystawało ponad wodę, a więc mostek kapitański i działa — oblepiał natychmiast gęstym szronem. W takich warunkach łódź nabierała zbędnej dodatkowej zdolności pływania i żadną siłą nie można było zepchnąć jej pod wodę w razie nieoczekiwanego spotkania z wrogiem, lub zbliżenia się do baterii przybrzeżnych.

W tej sytuacji marynarze musieli wypełzać na lodową skorupę i, obwiązawszy się mocno, obtłukiwali ją toporami i łomami, marznąc do bólu w zetknięciu z lodowatą wodą, — poczem łódź znowu się zanurzała.

I kiedy, na koniec, znaleźli się na spokojnej trasie, a kucharzowi udało się ugotować barszcz i kawę, dowódca nakazał udać się na spoczynek wszystkim, oprócz dyżurującej zmiany. Na głównym stanowisku pozostało jedynie kilku ludzi.

Łódź szła na niewielkiej głębokości równo i spokojnie, nie kołysząc się nawet. Żyrokompas brzęczał uspokajająco, miarowo tykały wskazówki sterów, pachniało po domowemu niedawnym obiadem i mogłoby się zdawać, że jest to zwykły rejs ćwiczebny. Tylko chłód i wilgoć, które przenikały w burty i ubrania w czasie długich dni blokady oraz mapa na stole szturmana, gdzie wymownymi krzyżykami oznaczone były miejsca zatopionych przez łódź transportowców, wiozących materiały wojenne, — przypominały o wszystkim, co działo się przed wyruszeniem w ów rejs.

Łódź starała się utrzymać w zatoce możliwie jak najdłużej. Brzegi skuła już gruba powłoka lodowa i należało wracać do bazy, lecz mając jeszcze zapas paliwa i amunicji, łódź strzegła w dalszym ciągu wojennej drogi morskiej. Nie był to ani upór, ani wyczyn sportowy — poprostu konieczność wojenna.

Przez Zatokę Botnicką wróg zaopatrywał się w amunicję, działa, pociski. Zatoka Botnicka była dla wroga tym, czym miech dla paleniska: jeśli go przykryć — osłabnie, a może i całkiem przygaśnie ogień na froncie, pozbawionym swego wybuchowego pokarmu i tysiące istnień ludzkich zachowałoby się dla pracy i szczęścia. I to, że przy jednym z krzyżyków na mapie widniała data z przed trzech dni, wskazywało, że łódź nie napróżno zatrzymała się tak długo: wróg, przekonany, że blokada wskutek zimnych sztormów została zdjęta, próbował przewieźć amunicję. Ale u samego wejścia do lodowego korytarza oba transportowce grzmiącym fajerwerkiem wyleciały w powietrze, ku niskim obłokom śnieżnym, a ogniste słupy wybuchu dowiodły, że sowieckie łodzie podwodne pełnią jeszcze swą straż.

Lecz pozostawać nadal w zatoce było niemożliwe. Niebywale ostra zima mogła w każdej chwili skuć lodem przejścia między wyspami i wówczas zatoka stałaby się mogiłą. Odrazu po ataku na transportowce nieprzyjacielskie dowódca wyznaczył kurs na południe, chcąc dostać się do cieśniny, póki panował sztorm, rozbijający lód i tym samym nie dopuszczający do zamarznięcia jedynego wyjścia w morze.

Przed świtem łódź podpłynęła do cieśniny. Dowódca znajdował się na górze sam. Zachrypniętym głosem zakomenderował przez megafon kierunek na półwyspy i ocalałą latarnię morską. Szturman oznaczył już na mapie miejsce, z którego miał rozpocząć ślepą podwodną wędrówkę, ale dowódca ciągle jeszcze z niewiadomej przyczyny nie schodził na dół. Wreszcie pokazały się na trapie jego nogi, zamknął luk wyjściowy i zarządził zanurzenie.

Łódź opuściła się na niewielką głębokość, kryjąc się przed bateriami, strzegącymi cieśniny i wkrótce, najwidoczniej, znalazła się między wyspami, gdyż kołysanie stopniowo ustało. Łódź wpłynęła na ciche wody, załogę ogarnęło uczucie pewnej błogości i beztroski, z którego to powodu dowódca polecił wszystkim, nawet szturmanowi, udać się na spoczynek. Sam spokojnie spoglądał na liczniki i zegary, na mapę, przyciszoną komendą zmieniał kurs, trzymając się przytym odkrytego w swoim czasie bezpiecznego farwatru i marynarzom na centralnej pozycji wydawało się, że wszystko odbywa się normalnie. Tylko bosman Wioznow, stary doświadczony sternik, zauważył, że komandor zachowuje się nieco dziwnie: co pewien czas przemierzał cyrklem mapę, długo się nad nią zatrzymując i przerzucał karty locji. Potem wyjął z biurka cały stos telegramów meteorologicznych, znów czytał locję, przeprowadzał na mapie, daleko na południe od wyjścia z zatoki, dziwne krzywe linie, patrzył na nie, coś obliczając i wreszcie, gwałtownie odrzuciwszy na bok gruby tom locji, burknął z niezadowoleniem: — A cóż to, łżej mi, że raz na sto lat... Bosman podniósł nań wzrok, ale dowódca przykazał mu surowo dokładniej trzymać się głębokości i znów pochylił się nad mapą.

Wszystko to niepodobne było do jego zwykłej, spokojnej uprzejmości. Ale w końcu, widać, coś postanowił, gdyż odłożywszy na bok i locję i komunikaty, wytarł gumką mapę i oznaczywszy kurs daleko naprzód, zapiął płaszcz pod szyję i usiadł na taburecie, aby się zdrzemnąć po długim czuwaniu.

Powoli łódź zaczynała ożywać — najbardziej zmęczony człowiek także kiedyś wreszcie się wyśpi. Marynarze budzili się, nie wierząc samym sobie, że spokojny kurs jeszcze się nie skończył. Rozpoczęło się ogólne golenie i doprowadzanie do porządku toalety, gdyż liczono się z tym, że po wypłynięciu łódź znów znajdzie się na wzburzonym morzu i „huśtawka" trwać będzie do samej bazy. Przyszedł kucharz i spytał, czy może wydać śniadanie (chociaż według zegara była to zupełnie nie śniadaniowa pora). Po łodzi rozszedł się smakowity zapach — tym razem kakao. Wypiwszy swą filiżankę, komandor posłał po pomocnika, rozkazał mu iść wyznaczonym kursem, w żadnym wypadku nie wypływając, i zbudzić go pół godziny przed przybyciem do oznaczonego na mapie punktu.

Lecz kiedy znów zjawił się na głównej pozycji, okazało się, że sen wcale go nie odświeżył. Wydawać się mogło, że w ogóle nie spał: spochmurniał, szczerniał i oczy miał rozpalone. Zamienił parę słów z pomocnikiem, zwolnił go i przysiadł na swym taburecie.

Przy sterze poziomym znów pełnił służbę bosman Wiaznow, a wraz z nim cała lepsza zmiana: ładowacze, elektrycy, i sternik — wszyscy szturmowcy i komuniści. Komandor na każdym zatrzymywał wzrok przez dłuższą chwilę, jak gdyby chcąc ich na nowo ocenić. W łodzi głosy ucichały, kto tylko mógł, znów położył się spać, korzystając z chwilowego spokoju i prawie nikt nie przechodził przez centralną pozycję. Lecz komandor rzekł nagle półgłosem: — Zamknijcie drzwi, żeby tu się nikt nie kręcił.

I kiedy dokręcono ostatnią mutrę wodoszczelnych drzwi, odezwał się tym samym przyciszonym głosem: — Towarzyszu bosmanie, proszę wypłynąć na peryskopową głębokość. Powolutku.

Wiaznow ostrożnie przełożył stery, łódź podniosła się dziobem, strzałka głębokościomierza przesunęła się w lewo. Ale kiedy znalazła się za cyfrą, oznaczającą, że peryskop, podniesiony ponad mostek, mógłby już widzieć horyzont, łódź zachwiała się, jakby natknąwszy się na jakąś przeszkodę. — Tak, rzekł komandor, przedmuchać średnią. —

Wypuszczono powietrze, między burtami zabulgotała woda, wypchnięta z cysterny, ale strzałka głębokościomierza zamarła na podziałce, a pokład nagle pochylił się pod nogami. Komandor machnął ręką i na jego skinienie poszły w ruch dźwignie i koło sterowe. Łódź, znów nabrawszy wody i powoli wyprostowując się, poszła na dół.

— Dajcie poprzednią głębokość—rzekł dowódca, ogarniając wzrokiem obecnych. Czy wszystko jasne? — spytał. A więc — język za zębami.

Wszystko było jasne: to, co przeszkadzało łodzi wypłynąć, nie było oddzielną bryłą lodową, która łatwo mogłaby ześlizgnąć się z powierzchni okrętu. Przechylenie łodzi, gdy oparła się mostkiem kapitańskim o lód, oznaczało, że miała nad sobą pokrywę lodową.

Wszyscy zebrani na głównej pozycji milczeli. Komandor schylił się nad mapą, wyprzedzając cyrklem kurs. Naznaczył nowy punkt i odwrócił się:

— Towarzyszu bosmanie, wezwijcie zmianę, a ze swoją narazie odpocznijcie! Za trzy godziny spróbujemy jeszcze raz. Gdzieś wreszcie się skończy... W łodzi za dużo nie gadać, nie trzeba wszystkich niepokoić. Jasne?... Otworzyć drzwi.

Nadeszła zmiana, łódź w dalszym ciągu płynęła spokojnie i nikt, prócz tych, którzy udali się na spoczynek, nie domyślał się, że spokój ów zawdzięczano ogromnych rozmiarów lodowemu pułapowi.

W tym miejscu, gdzie komandor, minąwszy zamarzniętą cieśninę, starał się wypłynąć, morze Bałtyckie nie zamarzło ani razu w ciągu stu lat i nie było podstaw, aby tym razem liczyć na taki kaprys przyrody. Kiedy o świcie łódź przybliżyła się do cieśniny i kiedy zamiast czarnej huczącej wody dowódca ujrzał gładką, białą zasłonę, zrozumiał, że cieśnina, mimo sztormu, zamarzła. Zmuszony był wówczas opuścić się na poprzednią głębokość, przejść cieśninę pod lodem, aby wypłynąć daleko w morzu, tam, gdzie ogromne, w wiecznym ruchu będące masy wodne zamarznąć, oczywiście, nie mogły.

I łódź zeszła pod lód, którego brzeg południowy znajdował się nie wiadomo gdzie, ale gdzieś przecież być powinien. Powinien, ale czy był?...

Miejsce, które komandor wyznaczył dla pierwszej próby wypłynięcia, znajdowało się o dziesięć mil na południe od brzegu pokrywy lodowej, której niezwykłą wielkość locja morza Bałtyckiego wskazywała, jako wypadek jedyny w ciągu stu lat. Dziesięć mil miało stanowić poprawkę, uwzględniającą obecną ostrą zimę. Jednak okazało się, że i tu, gdzie nawet w owym historycznym roku była czysta, niezamarznięta woda, teraz znajdowała się gruba, nie do przebicia, pokrywa lodowa.

W łodzi podwodnej, jak może nigdzie indziej, trzeba umieć panować nad swoją wyobraźnią. Wystarczyło bowiem na chwilę zostawić jej swobodę, a już na mapie wyrastały dwa białe pola. Zakrywały sobą czarne cyfry głębokości, zbliżając się do siebie nawzajem od północnego do południowego brzegu. Schodziły się bezgłośnie i gdzieś pod nimi szamotała się skazana na zgubę łódź podwodna...

Należało usilnie myśleć o tym, w którym miejscu mogła być czysta woda. A być musiała. Nie mogło jej nie być.

Szukać jakichkolwiek wskazówek w locji nie miałoby sensu. Jak każda staruszka, już się przyznała, że czegoś podobnego od stu lat nie pamięta. Zasięgać rady u innych — znaczyłoby naruszyć niepotrzebnie ich spokój. Pozostawało więc tylko czekać jeszcze trzy godziny i znów spróbować szczęścia.

Ale kiedy po trzech godzinach nadszedł bosman Wiaznow ze swą zmianą, okazało się, że o wiszącym nad łodzią, jak pokrywa długiej trumny, lodowym pułapie, myślał nie tylko dowódca i świadkowie nieudanej próby wypłynięcia. Dla załogi jasna była zarówno przyczyna nachylenia łodzi, jak i dziwny szum nad głową i komandor dobrze rozumiał spojrzenia, którymi obrzucali go marynarze, przechodzący przez główną pozycję.

Komandor przytknął usta do megafonu, przeprowadzonego przez wszystkie oddziały, krótko objaśnił załodze, co zaszło i dał sygnał wypłynięcia.

Teraz łódź, próbując wydostać się z spod lodu, z pasją rzucała się z dołu na jego mocny pancerz. Zatrzymawszy maszyny, podkradała się doń po linii pionowej, aby rozpaczliwym wysiłkiem, przedmuchując wszystkie cysterny, unieść gigantyczną pokrywę lodową morza Bałtyckiego. Ludzie na stanowiskach bojowych oblewali się potem, jak gdyby to oni sami, siłą własnych ramion, mieli przełamać wiszący nad nimi pułap.

Ale pokrywy lodowej przebić się nie udało. I łódź opuściła się w głąb, tak, jak od bezlitosnego szkła akwarium odbija się zwinna lecz słaba ryba.

Znalazłszy się na głębokości, komandor polecił sprawdzić stan akumulatorów. Energia była na wyczerpaniu. Teraz już nie starczyłoby jej nawet na to, żeby wrócić do tej części zatoki, gdzie woda jeszcze nie zamarzła. Dowódca pochylił się nad mapą, oznaczając wiejsące o tej porze wiatry, głębokości, prądy, potym gwałtownie zmienił kurs na zachód, w kierunku przeciwnym niż na bazę — i oddalił się.

W łodzi życie szło normalnym trybem. Marynarze zachowywali zupełny spokój, żartowali nawet, ale komandor co pewien czas łowił ich uważne spojrzenia, — nieme pytania, zwrócone na siebie. Wszystko ma swoje granice — i wytrzymałość, i dzielność. Próba trwała zbyt długo.

Wówczas dowódca przeszedł do kajuty, wziął książkę, wrócił z nią na główne stanowisko, i zagłębił się w czytaniu.

Czytał w skupieniu, uśmiechając się niekiedy i wracając powtórnie do miejsc, które specjalnie mu się podobały. I marynarze, przechodzący tędy niby-to w związku ze służbą, widzieli: komandor siedzi i czyta, jak gdyby łódź najzwyczajniej w świecie płynęła w czystych wodach. Znaczy — wszystko jest w najlepszym porządku. Pocóż się denerwować, dopuszczać złe przeczucia, skoro komandor siedzi i z uśmiechem czyta książkę?

I tylko bosman Wiaznow zauważył to, co uszło uwagi innych. W pewnej chwili, kiedy komandor podniósł wzrok na zegar, bosmanowi udało się pochwycić jego spojrzenie. W zmęczonych, błyszczących gorączką oczach dowódcy ujrzał coś takiego, że drgnęło w nim serce i tarcza głębokościomierza zasnuła się parą oddechu. Kolano bosmana dotykało kolana komandora, — taburety ich stały blisko — i bosman, chociaż było mu niewygodnie i noga zdrętwiała, nie był w stanie oderwać jej od chłodnego komandorskiego płaszcza: jakby jakiś strumień woli, spokoju i zdecydowania płynął z tego nic nieznaczącego zetknięcia.

O oznaczonej samemu sobie porze komandor zamknął książkę i wstał.

Znów zabrzmiały dzwonki na wypłynięcie. Znów łódź poszła w górę, przedmuchując cysterny, i znów rozległo się nieszczęsne uderzenie krawędzi o lód. Ale strzałka głębokościomierza, zatrzymawszy się na chwilę — gwałtownie poszła w lewo, osiągnęła zero i łódź się zachwiała.

Podniesiono peryskop. Przez szklane jego oko ujrzano pływające wokół rozbite kawałki lodu. Fala kołysała łodzią co raz silniej. Komandor bez przerwy patrzył w peryskop (tak samo chciwie przypada człowiek na pustyni do znalezionej z trudem wody) i cieniutki promyk światła dziennego igrał na zaczerwienionym białku jego prawego oka. Gdy odwrócił głowę, wszyscy ujrzeli przed sobą dawnego dowódcę.

— Szturmanie, zapiszcie — no tam w locji, stronica sto dwunasta! Skraj lodu w północnej części Bałtyku może sięgać szerokości — miejsce proszę określić według mapy... Przygotować Diesle!

Wszedł na górę po trapie, z trudem otworzył luk wyjściowy i w tej chwili wesołe odrobinki lodu obsypały go dźwięcznym deszczem. Wpadł strumień świeżego mroźnego powietrza, fala przechyliła łódź i z taburetu na pokład ześlizgnęła się książka.

Bosman Wiaznow podniósł ją ostrożnie i położył obok locji. Były to „Baśni gruzińskie".

Tłumaczyła MARIA SEIDENOWA

B. GARBATOW

WIELKA WODA

Rok polarny ma jeden miesiąc dosłownie — zupełnych bezdroży. Jak myślicie, który to? To lipiec. Dokładnie: od 20 czerwca do 20 lipca. W tym właśnie czasie Dikson staje się wyspą.

Statki jeszcze nie chodzą, samoloty już nie latają, psy nie biegają. Słowem — w lipcu ludzie siedzą w domach i czekają. Lipiec to miesiąc zupełnych bezdroży, ale i przeczucie wielkich dróg.

Nie ma się czemu dziwić, w kalendarzu polarnym wszystko jest na opak. Najcieplejszym miesiącem jest kwiecień, a najbardziej słotnym — sierpień. W październiku jest już zima, a wiosna nieśmiała i zmęczona daleką drogą dowlecze się tu dopiero w końcu lipca. Lipiec zaś tutaj, to miesiąc przełomowy — trzon roku, miesiąc wielkiego oczekiwania i niedających się określić niepokojów.

W tym właśnie czasie wuj Tereń ze Wschodniego Brzegu wciąga wysokie białe buty z wiewiórczych skórek, grubo smaruje je tranem, bierze karabin, kij i tytoń, zarzuca na plecy torbę podróżną i rusza w drogę.

— Gdzieżeś się wybrał wuju Tereń? Ze zdziwieniem wita go sąsiad po fachu, młody chłopak, zimujący pierwszy rok. Któż w taką pogodę wyrusza?

— Ja — po prostu odpowiada wuj Tereń — trzynaście lat chodzę.

— A dokąd idzesz wuju Tereń?

— A na Dikson.

— Zwariowałeś stary! 150 kilometrów! Zostań w domu, nie długo statki pójdą.

— Człowieku kochany — dziwi się wuj Tereń, jakże nie mam iść — jak ja nie pójdę, to kto pójdzie.

— Ale pocoż iść?

— Dziwak z ciebie człowieku! Iść trzeba. Ja bracie całe życie chodzę. I u siebie w wiosce kiedyś chodziłem. Któż inny pójdzie—mamrocze, niecierpliwie spoglądając na drogę. Nudzą go te wszystkie wyjaśnienia. Poczty nie będzie żadnej na Dikson? — Pyta z ożywieniem. No to już chyba sobie pójdę.

— Poczty? Zażenował się sąsiad. Nie, skądże. No ale jeżeli i tak idziesz, to zabierz list. Doręcz tam i dodaje szeptem: niechże Nastia przyjeżdża.

Wuj Tereń uśmiecha się, zabiera list i rusza w drogę. Idzie i nuci pod wąsem ułożoną przez siebie piosenkę.

Daleka droga do morza błękitnego,
Ciężka droga do wyspy skalistej,
Gdzieżeś maszcie, gdzie zwiastunie,
Hej!

W tundrze wiosna. Dzwonią duże i małe strumyki. Z jękiem pękają lody na potokach górskich. Drżą pokryte cienką warstwą lodu pomarszczone jeziorka, kałuże wody stojącej, odtajałe wody ostro pachnące mchem i zielenią.

Wszędzie woda. Staniesz na mech i mech się sączy. Ruszysz mszystą kępę i kępa się sączy. Staniesz nieśmiało na lód — spod lodu wytryśnie woda, dźwięczna, wiosenna. Cała tundra teraz — bezkresne topielisko. Jak żywe mlaska pod butami, miękkie, podatne, pokryte żółtą, zeszłoroczną trawą i delikatnym wiosennym mchem, podobnym do puchu kurcząt.

Nieśmiało i niepewnie wchodzi wiosna do tundry. Zatrzymuje się, rozgląda. Ze strachem zamiera pod nieoczekiwanym „nordem", kuli się przed niosącym zamieć „ostem", a jednak idzie, idzie. Śnieg spełzł już do parowów, ale jeszcze nie stopniał. Przy brzegu już odtajało, ale lód jeszcze mocny. Już pokazały się gęsi, ale jeszcze nie ma komarów.

W rzece pod lodem panuje duży niewidzialny dla oka ruch. Hydrolodzy notują podniesienie temperatury i zmniejszenie zasolenia wody w zalewie — pewne oznaki zbliżającej się wiosny.

Ale na terenach łowieckich i na leżach zimowych na Wschodnim Brzegu, gdzie nie ma hydrologów, najpewniejszym zwiastunem jest wuj Tereń. Już niedługo przyjdzie wielka woda — radośnie mówią po chatach — wuj Tereń już wyruszył. Trzy dni temu widziano go na zatoce, wczoraj słyszano jego piosenkę na Pagórkowej Kardze. Idzie on na dwadzieścia dni przed wielką wodą. Ma własne obliczenia. Nie zdarzyło się nigdy, żeby się nie sprawdziły. Róbcie znaki w kalendarzach, zacinajcie siekierą karby na kijach, za dwadzieścia dni w tym miejscu gdzie przeszedł wuj Tereń—będzie wielka woda.

Idzie po grząskim brzegu i śpiewa:

Hej tundro przebudzona, hej,
Ty ścieżyno bezdrożna, hej,
Nóżki moje przemoknięte,
Hej!

W obłokach krzyczą gęsi. Za górą przeciągle ryczy jeleń. Przejmująco lamentują czajki — małpeczki. Polarne sowy, rozpostarłszy z powagą swe wspaniałe, wiosenne ubiory, unoszą się nad rzeką i siadają na czarno-zielonych skałach. Ruchliwe lemingi, z pełnym złości piskiem, kręcą się pod nogami. Spod kępy wyfrunęła tłusta biała kuropatwa i pobiegła po śniegu. przewalając się jak straganiarka z boku na bok.

Hej, Paniusiu! Krzyknął w ślad za nią wuj Tereń, nie zdążywszy zdjąć sztucera z ramienia.

Gdzie tam. Pokuśtykała przestraszona, zerwała się — nie ma jej! I znów pod nogami krzątają się kuliki, ostronose plotkarze, popiskują kuse lemingi w ryżych salopkach, przebiegł niebieski lis, wylewiały, oblazły. I wszystko żyjące i odradzające się, krząta się, kłopocze, krzyczy, dzwoni, śpiewa i cieszy się wiosną. Nawet lód na rzece pęka z radosnym dźwiękiem.

Tak być powinno, wszystko się zgadza, terminy sprawdzają się. Wuj Tereń z zadowoleniem uśmiecha się pod wąsem. Podchodzi do domku z okrąglaków pod czerwono-miedzianą skałą.

Hej! Stuka w drzwi kijem. Gospodarz w domu? I czeka na odpowiedź. W chacie cicho. Z komina unosi się smętny dymek. Zwały śniegu przy chacie zaczęły już topnieć. Spod nich wyjrzały na świat zardzewiałe puszki po konserwach. Tak jak pierwiosnki, pokazują się one dopiero na wiosnę.

— Jest jaka żywa dusza w domu? Odezwij się — krzyczy znów stary, stukając niecierpliwie kijem. Drzwi otwierają się i na progu pokazuje się kudłaty, ponury chłopak.

— Dzieńdobry Arseniuszu.

— Dzieńdobry — odpowiada odniechcenia, przepuszczając gościa.

— Nieszczególnie witasz gościa — z wyrzutem mówi wuj Tereń zrzucając z ramienia karabin i torbę podróżną. Czemuś smutny? Obrzuca izbę i chłopca uważnym, kpiącym spojrzeniem. Na stole stos listów, depesz i fotografii: kobietka z zadartym noskiem, z loczkami spod beretu, ta sama w futerku, w sarafanie, błyszczy nagie ramię, uśmiecha się krygująco i z zażenowaniem.

— Aha! Powiada wuj Tereń i siada na pniaku koło pieca. O nic jednak nie pyta. Wszystko już wie, wszystko zrozumiał. Wie jakie zlecenie da mu Arseniusz. Ściąga buty, stawia przy piecu i milczy. Czeka, patrząc jak spływają po szkle mętne strumyczki. Słucha jak dzwonią spadające z dachu krople. Arseniusz w milczeniu przemierza izbę. Stawia czajnik na ogniu, a kubki, chleb i mięso na stół. Po tym opada ciężko na stołek.

No, jak tam idzie, powinienby zgodnie ze zwyczajem zapytać wuj Tereń. Ale nie pyta. Arseniusz milczy. Milczy i on.

— Nie kocha już, szepce Arseniusz. Nic nie mów wuju, nie przecz, proszę cię.

— Ja nie przeczę.

— A ja ci mówię, suka ona, ot co!

— I w zeszłym roku tak mówiłeś, a jed nak myliłeś się.

— Teraz już się nie mylę! O nie! Dwa tygodnie grzebię się w tej sprawie. Wszystkie listy pozbierałem jeden do drugiego, mruczy Arseniusz. Nie jem, nie piję, nie wychodzę z chaty, wciąż czytam i czytam.

— Połapałeś się? Kpiąco pyta wuj Tereń. Ale Arseniusz nie słyszy drwiny.

— O masz — powiada, o! Patrz, stary sam. Rozkłada na stole listy — tak jak sędzia śledczy układa dowody rzeczowe.

— O! — wyszukuje — list z dwudziestego listopada. To pierwszy. Widzisz na końcu „gorąco, gorąco całuję". Zauważyłeś gorąco, gorąco... A ten z dziewiętnastego grudnia. Mocno całuję. Nie gorąco, stary — a tylko mocno. Zauważyłeś?

— No to co, czy to gorzej?

— A to ostatnia depesza, z maja. Czytaj. „Całuję". Poprostu całuję. I nic więcej. A kiedy to było, zauważyłeś? Trzeciego maja. Majowe sprawki. Urządziła się, gacha znalazła. Jasne? Pyta triumfująco. Gorzki to triumf.

— Nie, sam popatrz i podsuwa wujowi Tereniowi listy. Wuj Tereń bez pośpiechu wyciąga zza pazuchy okulary, wsadza je na nos, patrzy na listy. I rzeczywiście — 20 listopada — „gorąco, gorąco całuję", a z 3 maja — poprostu całuję i nic więcej.

— No? z niepokojem zapytuje Arseniusz. Jakiej odpowiedzi oczekuje? Pocieszenia, czy potwierdzenia przykrego domysłu? Wuj niezwykle poważnie obraca w palcach list i milczy.

— A więc — znów zapytuje Arseniusz.

— To wiosna... wreszcie mówi stary. Wiosna burzy się w tobie chłopcze.

— Wiosna? Z roztargnieniem przepytuje Arseniusz. A co ma do tego wiosna?

Na piecu zaszumiał czajnik. Wuj Tereń stawia go na stół i zabiera się do jedzenia. Arseniusz nie je nic. Przebiera palcami listy.

— Nie sprzeczaj się, nie sprzeczaj, mamrocze. Znam te listy na wylot. Każde słowo zważyłem i rozpatrzyłem. Przecież nie na darmo słowo się rzekło. Każdy wyraz ma swój sens.

— To tylko teraz dla ciebie mają one taki sens. A twoja kobietka pisze je ot tak sobie, co jej się na myśl nasunie.

— To nie tak stary, nie tak. Pisze się co serce dyktuje. Oto list z dwudziestego listopada. Znam go na pamięć. Z ciężkim sercem list był pisany. Tęskniła widocznie za mną, zadręczała się. Twarz jego łagodnieje, staje się dobra, szare oczy błękitnieją.

— Dręczyła się... widzisz... potakuje wuj Tereń i śmieje się.

— Po tym przychodziły listy pełne zmieszania, jakby pełne winy. Czymś wobec mnie zgrzeszyła. A ostatni list całkiem nic nie znaczący. Tak, wysłany bez jakiegokolwiek uczucia. Pisze — w kinie byłam.

— A cóż, i do kina ma nie chodzić?

— Ale poco do mnie o tym pisze? Przecież ja do kina nie chodzę. A chodź! Chodź do kina! Krzyczy nagle w kierunku drzwi. jakby kontynuując dawny spór z żoną. Ale poco piszesz do mnie o tym. Czy przyjemnie mi o tym czytać?

— Krew się w tobie burzy chłopcze — kiwa głową wuj Tereń. To od życia samotnego. Zdarza się.

W piecu trzaskają polana. Zwęglone głów nie rozsypują się, po raz ostatni wybuchają, jaskrawym płomieniem i gasną. Wuj Tereń dorzuca polano.

— Pójdziesz na Dikson wuju Tereń — cicho zapytuje Arseniusz.

— Taak — na Dikson.

Obaj milczą.

— Pocztę zabierzesz?

— Zabiorę.

I znów milczą długo.

— A odpowiedzi doczekam się?

— Doczekasz się.

Wuj Tereń wstaje i idzie do pryczy. Rozścieła kożuch, szykuje posłanie.

— No to ja napiszę — niepewnie i z miną winowajcy mówi Arseniusz.

— A napisz, napisz.

Wuj Tereń zasypia, a Arseniusz układa depeszę. Drze kartkę za kartką, gryzie obsadkę, znów pisze. Twarz jego odzwierciedla naprzemian wszystkie uczucia — od czułej miłości do wściekłej złości, od dzikiej rozpaczy do cichej nadziei.

Po czterech godzinach stary jest już na nogach. Czas upływa, a droga daleka. Arseniusz odprowadza. Na brzegu zatrzymują się. Arseniusz mocno ściska dłoń i spoglądając mu w oczy, pyta:

— Więc czekać?

— Czekaj chłopcze, czekaj.

Teraz droga wuja Terenia prowadzi nawprost przez zatokę. Arseniusz długo jeszcze stoi na wysokim brzegu i patrzy jak stary brnie przez lód, przeskakuje szczeliny w lodzie, obchodzi przybrzeżne wody, zapada w mokry, grząski śnieg, wygrzebuje się i znów idzie. Worek skacze mu na plecach, a w worku depesza.

Wreszcie przeklęta zatoka zostaje poza nim. Wuj Tereń gramoli się na brzeg. Otrząsa śnieg ze spodni i butów i siada na suchej kępie dla złapania tchu. Czy wiosny się pogorszyły, czy wiek zrobił swoje — coraz cięższą i cięższą staje się dla starszego droga. Jeszcze ze dwa lata pochodzę, a po tym na spoczynek, — myśli, wycierając pot z czoła i szyi.

Niebo nad tundrą błękitnie, wysoke, wilgotnawe, takie jak w rodzimej wiosce w kwietniu. Tak samo pachnie wilgotna, zorana ziemia. Tak samo dzwoni woda. Tak samo na jeziorze krzyczą gęsi. Brak tylko skowronka. Wuj Tereń podnosi się postękując i idzie. Znów rozlega się piosenka.

Hej ty tundro milcząca, hej
Kraju daleki, zagubiony, hej
Gdzieżeś ty maszcie, gdzie zwiastunie hej!

Idzie, wybierając suchszą drogę. Dobrze jest iść po ubitej glinie, gorzej po lepkiej — tłustej, a już zupełnie źle — parowami. Pod cienką, złudną skorupą śniegu — woda zimna jak lód.

Idąc parowem wuj Tereń, nie patrzy już w niebo. Niebo — wysoko. Woda — blisko. Idzie ostrożnie, maca śnieg kijem, fajka gaśnie, piosenka milknie. Tu jeśli zapadniesz — nie wydostaniesz się, śnieg sypki — uchwycić się nie ma za co.

Idzie więc parowami, wchodzi na pagórki, brnie przez tundrę i wychodzi na wąską ścieżkę, wydeptaną przez zwierzęta. W rudej glinie — odbicia kopyt. Ślad jest świeży. Prowadzi na północ, tam gdzie zdąża wuj Tereń. Starzec idzie śladem i myśli:

Co gna jelenia na północ? Giez! A jesienią z północy na południe? Głód. A co gna człowieka tutaj? Eh! Jakiż to niespokojny twór z człowieka. Jeleni trop ostro skręca w prawo. Wujek Tereń powinien iść prosto — i bliżej i suszej, a on wciąż idzie śladem. A jego jaki giez goni? Na wzgórzu zatrzymuje się, podnosi głowę i zupełnie jak stary, siwy jeleń, wciąga powietrze.

Pachnie wilgotną ziemią, błotem, stojącą wodą, trawą przegniłą pod śniegiem— cierpkie, rdzawe zapachy tundry. Wiatr niesie je na wuja Terenia. Nie czuć tylko zapachu zwierząt. Kiepskie ma człowiek nozdrza, ale za to oczy dobre.

I oto w parowie, między dwoma wzniesieniami, wuj Tereń spostrzega jelenia. Wychudły, wiosenny, zatrwożony. Niespokojnie kręci głową — widocznie też węszy. Coś go niepokoi. Ale słabe są jelenie oczy i nie widzi jak skrada się do niego człowiek z karabinem. Ale nozdrza ma dobre — jeleń lękliwie wciąga powietrze. Woń jest niepokojąca, złowroga: pachnie człowiekiem. Spłoszony jeleń skacze w bok... Ale wuj Tereń podrzucił już karabin. Rosochata głowa mieści się dokładnie na muszce.

Dwa strzały rozlegają się jednocześnie. Jeleń z żałosnym jękiem wali się na śnieg, ciało jego drga konwulsyjnie i nieruchomieje. Wuj Tereń bez pośpiechu podchodzi do zdobyczy.

Wyprzedza go dźwięczny, dziecięcy głos.

— To mój jeleń!

Z poza skały wybiega chłopaczek, mniej więcej trzynastoletni, w ogromnej białej czapie, z karabinem.

— To mój jeleń! Krzyczy ostrzegawczo i podbiega do jelenia. Przy powalonym zwierzęciu zatrzymuje się i mocniej ująwszy karabin czeka na niespodziewanego konkurenta. Cały się najeżył. Nawet futro na jego wiewiórczej czapce staje dęba.

(D. c. nastąpi)

LESZEK PROROK

Niedomagania literatury marynistycznej

„MOŻE NIE WIEDZIEĆ POLAK CO MORZE, GDY PILNIE ORZE!“ — głosił swój pogląd na morskie sprawy Rzeczypospolitej popularny w XVII wieku autor „FLISA“ poeta i burmistrz lubelski, SEBASTIAN KLONOWICZ, z łacińska „ACERNUSEM“ zwany. Zdanie to, typowe dla mentalności przeciętnego szlachcica, wystawiło niechlubne świadectwo krótkowzrocznemu lekceważeniu naszej granicy morskiej przez przodków.

Propaganda morza i jego spraw powracała często w dwudziestoleciu międzywojennym do pana klonowiczowej maksymy, jako do przykładu, którego naśladować nie wolno. Skrawek kilkudziesięciu kilometrów odzyskanego wybrzeża i **legenda Gdyni** zrobiły swoje. Na Bałtyk przestaliśmy patrzeć jak na tajemniczy, egzotyczny teren, niedostępny dla narodu rolników. Nie przestając orać, zwróciliśmy się ku morzu z rosnącym zainteresowaniem jego sprawami i prawami. Dziś w świadomości społecznej, zwłaszcza w umysłach młodzieży, rodzi się przekonanie, że Bałtyk to „mare nostrum“ żywioł bliski i codzienny, podobnie jak gleba dla oraczy Acernusa. Coraz większy odsetek ludności kraju żyje z morza i na morzu. Zmiany te wpływają mocno na przekształcenie się świata naszych pojęć o wodnym żywiole.

Jeszcze nie tak dawno, gdyż kilkanaście lat temu, psychiczną potrzebę wyżycia rozbudzonych tęsknot morskich zaspakajały plażowe tygodnie nadmorskich wakacji.

Wycieczkowe kontakty z Bałtykiem nosiły charakter nieustannego „Święta Morza“ z jego akademijno-chorągiewkowymi akcesoriami. Elementy ekstatyczne spotkań z morzem dźwięczą jeszcze dzisiaj w słowach popularnej pieśni: **Morze, nasze morze!** Ludzie, dla których morze było nieefektownym, czerstwym nieraz, ale odżywczym i niezbędnym chlebem codziennym stanowili drobny odłamek społeczeństwa, ograniczali się niemal do ludności Gdyni i garstki kaszubskich rybaków.

Rozwój życia na wybrzeżu w okresie powojennym, praca portów, dorobek i ambicje środowisk gdańskiego i szczecińskiego dowodzą, że nad morzem wkroczyliśmy na szczęście w zdrowy okres dnia codziennego. Istnieją oznaki wskazujące, że z czasem możemy osiągnąć taki stosunek do morza, jaki istnieje u tradycyjnych narodów morskich — Skandynawów, Holendrów, Hiszpanów, Anglików.

Jest wskaże dziedzina, w której naszkicowane powyżej przemiany odbiły się w nieznacznym stopniu. Dziedzina ta, co dziwniejsze, powinna przodować w zorganizowanym realnym, psychicznym i kulturalnym powrocie polskości nad Bałtyk i na Bałtyk. Jest nią, jak łatwo się domyśleć z tytułu niniejszych gorzkich nieco rozważań — **literatura marynistyczna.**

Marynistyka polska mimo szeregu przedwojennych i powojennych prób na tym polu jest wciąż jeszcze **w powijakach.** a szereg znaków wskazuje na to, że rozwój jej nie jest prawidłowy. Nad próbami literackimi tej branży ciąży wciąż jeszcze **emocjonalne podejście,** pełne nieporozumień, fałszujące rzeczywistość morza i jego ludzi. Marynistykę polską cechuje brak właściwej samodzielnej postawy wobec nowego żywiołu, jaki naraz rozciągnął się u naszych rubieży na kilkusetkilometrowej długości od Braniewa po Szczecin.

Tymczasem świat pojęć naszych o morzu wciąż jeszcze jest niemiłosiernie zagmatwany i nierealny, a pisarski wypad twórcy na pełne wody wciąż jeszcze przypomina nieco pobyt Alicji w krainie czarów.

Lecz oddajmy głos autentycznym ludziom morza. Przypomnę tutaj ciekawą wypowiedź oficera marynarki handlowej, **Urbana Krzyżanowskiego,** z przed dziesięciu laty. Dlaczego jego właśnie i dlaczego na tym miejscu, o tym za chwilę poniżej. Krzyżanowski zamieścił przed wojną kilka udanych prób marynistycznych w pismach literackich, oraz kilka artykułów. Czy wojnę przeżył i co dzisiaj porabia nie jest mi wiadome.

A oto jego słowa:

„Pojęcia o marynarzach, jakie przeciętny Polak nosi w głowie i w sercu, są zlepkiem banałów nie mających odpowiedników w rzeczywistości. Jeśli zapoznamy się z literaturą marynistyczną... stwierdzić można pewien postęp w dziedzinie czysto materialnej. Nie wypisuje się o statkach i o morzu już takich krzyczących bredni, jak to miało miejsce kilka lat temu. Na ludzkim odcinku marynistyki nic się nie zmieniło“.

Nie będzie przesadą stwierdzić, że i dzisiaj, po upływie dalszych lat dziesięciu, gorzkie słowa marynarza, obdarzonego wyczuciem literackim, nie utraciły wiele ze swej aktualności. Zwłaszcza w odniesieniu do powieści o tematyce morskiej..

DWA WZNOWIENIA

Do rozważań nad kolejami prozaicznej twórczości marynistycznej w Polsce skłaniają co pewien czas co raz to nowe wznowienia książek orzedwojennych.

Jest znamienne, że w tej dziedzinie nie wyszliśmy w gruncie rzeczy poza wznowienia. Wojna przyniosła kilka pierwszorzędnych reportaży (np. Fiedlera — „Dziękuję ci kapitanie“), oraz ubeletryzowanych kronik polskiej floty wojennej (Pertek — „Wielkie dni małej floty“. Bartosik — „Wierny okręt“). Brakuje nowych osiągnięć o ile chodzi o inne rodzaje literackie, **a w szczególności brak dobrej prozy artystycznej o tematyce współczesnej.**

Podkreśliłem świadomie tematykę współczesną dlatego, że w zakresie powieści historycznej lukę, którą przed wojną pracowicie zapełniał J. B. Rychliński, przysłoniła nieco tryologia Wł. J. Grabskiego **„Saga o Jarlu Broniszu“,** uznana szeroko przez krytykę za rzetelne osiągnięcie marynistyczne. W rozważaniach mych powieść historyczną, podobnie jak zresztą lirykę morza pozostawiam na uboczu.

Sprężysta firma poznańska „Wydawnictwo Zachodnie“ po znanej powszechnie i zasłużonej serii popularnych prac publicystycznych i popularno-naukowych z zakresu problematyki Ziem Odzyskanych przystąpiła do wydawnictw beletrystycznych. Na początek ukazały się dwie powieści, dziwnym trafem obie marynistyczne i obie wznowione. Są tu „Dannemora“. A. Kawczyńskiego i „Ludzie spod żagli“ Wandy Karczewskiej. Autorka ostatniej otrzymała w r. 1937 nagrodę marynistyczną im. J. Szareckiego.

Powieść Karczewskiej, na której marginesie po większej części snuję niniejsze rozważania, jest z jednej strony przejawem dużych zdolności literackich autorki, z drugiej jednak stanowi kolekcję większości grzechów głównych, jakie ciążą na naszej marynistyce. Odznaczenie utworu jedyną marynistyczną nagrodą, jaka u nas istniała, zresztą z prywatnej fundacji, nadaje powieści znaczenie specjalne, niejako reprezentacyjne. Charakter ten podkreśla wzmianka na obwolucie nowego wydania.

Obraz morza w ujęciu Karczewskiej oburzył swego czasu człowieka morza, znanego nam już Krzyżanowskiego. Gorąco wystąpił przeciwko młodej autorce. Mało kto dzisiaj pamięta ostrą dysputę na łamach „Prosto z Mostu“ w paru nawrotach.

Wznowienie powieści uzasadnia poniekąd wznowienie krytycznych argumentów recenzenta pierwszego wydania, choć jest to zwyczaj nader rzadko praktykowany. Usprawiedliwia mnie to, że uwag swych nie uważam za recenzję sensu stricto książki p. Karczewskiej, lecz za próbę naszkicowania problemu, dla którego „ludzie spod żagli“ są wymowną ilustracją. Obok uwag własnych powołam się tu i ówdzie na jubileuszowe poniekąd, gdyż z przed dziesięciu lat pochodzące, opinie oficera marynarki handlowej.

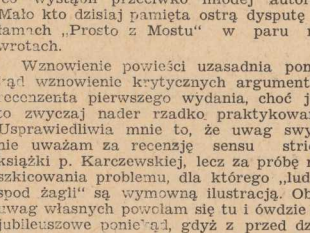

PRZEZ PRYZMAT WAKACJI

Karczewska pisze o morzu na podstawie praktytyki jachtowo-sportowej. Doświadczenia własne stały się podstawą do próby „realistycznego“ przedstawienia życia na szwedzkim tysiętonowym barku „Ingrid“ w czasie dłuższej podróży. Rozdźwięk między realizmem postulowanym a osiągniętym najbardziej oburzył Krzyżanowskiego, a ponoć także i jego zwierzchnika, kapitana statku, na którym żeglował, jak również poniektórych innych zaprzyjaźnionych zejmanów. Czystych ludzi spod żagli nie ma już dzisiaj: krzyczał zapamiętale marynarz. Skąd ich pani, u ulicha, wzięła. Czystych żaglowców tłucze się po morzach niewiele. Jest ich trochę w Finlandii i w Niemczech. Poza tym czysto żaglowe są jachty sportowe oraz statki szkolne i to nie wszystkie.

„Ingrid“ i jej załoga są rażącym anachronizmem, zakurzonym rekwizytem dobytym z lamusa pojęć przebrzmiałych docna, niewiele mających wspólnego z dzisiejszą rzeczywistością pracy na morzu. W toku dyskusji poszedł w ruch „Lloyd's Register of Shipping“ dla stwierdzenia ilu ostatnich mohikanów napędu płóciennego snuje się jeszcze po wodach świata. (Chodzi tu oczywiście o statki pełnomorskie — jak Ingrid). W statystyce marynarz okazał się silniejszy niż pisarka. W roku 1937 statków takich było aż 57. Inne to żaglowce, wyposażone niezgorzej od statków parowych i motorowych w ostatnie zdobycze techniki morskiej jak: silniki napędowe i pomocnicze np. kotwiczne, radiopelengatory, kompasy żyroskopowe, sondy akustyczne itp. Stwarzają one zupełnie inne podłoże materialne dla pracy żeglarza, niż romantyczne w naszym pojęciu żaglowce doby choćby Conrada i Londona. **Nie miała przeto autorka żywych wzorów dla swych ludzi spod żagli. Tworzyła za tym ich psychikę, świat ich pojęć, pragnień, mowę i zachowanie z fantazji, przez pryzmat wakacji spędzonych nad morzem i na morzu.**

Pisanie o świecie i środowisku nie poznanym gruntownie i do końca jest u nas niestety częste, a na pewnych terenach urasta do rozmiarów **metody.** Oczywiście daleki jestem od zarzucania takiej świadomej metodyczności autorce „Ludzi spod żagli“. Myślę, że zawiniło tu raczej niedostateczne wyczucie różnicy, jaka dzieli wakacyjno-rozrywkowy obraz morza, od obrazu morza-warsztatu, gdyż takim jest ono w pierwszym rzędzie dla tych, którzy żyją zeń stale.

Przypomnę tu przykład odmiennego podejścia do sprawy. Para autorska, **Boguszewska i Kornacki,** przed napisaniem **„Wisły“** spędziła kilka miesięcy na barce wiślanej, żeglując w górę i w dół rzeki. To było studium życia Wisły i jej ludzi bez porównania lepsze niż wycieczka pasażerska kolowcem z Warszawy do Płocka i z powrotem.

Świat o którym chcemy pisać należy **poznać dogłębnie. Chyba, że w założeniu zamierzamy pisać powieść fantastyczną. Wtedy wyobraźnia może wystarczyć, choć też nie zawsze.**

Tymczasem „Ludzie spod żagli“ kuszą się o przedstawienie czytelnikowi surowej rzeczywistości groźnego żywiołu, mają być nagą prawdą morza. Otóż prawdą taką nie są. Rozbieżność wykracza znacznie poza to, na co zezwala realistyczna licentia.

MORZE Z PERSPEKTYWY

Z przykładu tego rodzą się daleko idące wnioski.

Czy nie byłoby wskazane porozumienie miarodajnych czynników literackich z Żaglugą Polską, GAL-em lub tp., celem zarezerwowania w kubryku jednego czy drugiego węglowca, koi dla literata, który szuka drogi prawdziwego zżycia się z morzem? Obecnie bowiem grono pisarzy nadmorskich, odpowiedzialnych w pierwszym rzędzie za aktywność naszej kultury na odcinku marynistyki, może pisać o morzu z perspektywy wspaniałego mola w Sopocie lub wrażeń żeglugi kabotażowej. Dziś, gdy się tyle mówi i pisze o realiźmie, znajomość środowiska i warunków obowiązuje w pełni.

Nawiasem trzeba dodać, że kilkotygodniowa, czy kilkomiesięczna żegluga tego czy innego aspiranta marynistyki, to tyleż czasu trwający jego wieczór autorski, któ rego w imię haseł upowszechnienia kultury nie należy szczędzić załogom naszej floty handlowej.

Lecz wróćmy do „Ludzi spod żagli“.

Pisanie powieści marynistycznych z perspektywy wybrzeża lub conajwyżej żeglarza-sportowca prowadzi do wykoślawienia postaci ludzi morza w kierunku schematów, jakie ongiś zdobyły sobie prawo obywatelstwa w naszym społeczeństwie nie zżytym zupełnie z nieznanym żywiołem i jego warunkami. Trzeba wtedy operować nieodłącznym rekwizytem **„wilka morskiego“,** najczęściej ponurego, o zbrodniczych instynktach, skorego na każdym kroku do bójki. Trzeba zaostrzać obraz charakterów specjalnie dobranym stekiem lapidarnych powiedzonek. Trzeba szminkować język wyczynami ryzykownego słowotwórstwa. Trzeba „realizm“ powieści ratować **atmosferą.**

Zaiste niezwykła atmosfera panuje na statku nagrodzonej powieści. Fabuła nasiąkła zbiorową wrogością, jaka dzieli kapitana odludka od panopticum trzech jego oficerów obcokrajowców (w tym jeden łagodny Polak) i odseparowanej ściśle załogi. Na osi tych naprężeń grają krwiożercze instynkty. Opar zbrodni czai się w spojrzeniach majtków, błyska ostrzem noża oczyszczonego starannie po dawnej awanturze, bo a nuż zdarzy się nowa okazja. Błysk oczu Malaja, dorżniętego en pasant na bulwarze zamorskiego miasta, powraca wciąż niepokojącym wspomnieniem. Bilans podróży „Ingridy“ obejmuje kika trupów, w tym część w nader makabrycznych okolicznościach. Tymczasem powieść nie odnosi się do czasów „Kapitana Blooda“, nie opisuje przygód pirackich. Ot zwykły handlowy rejs, którego znaczna część upływa na spokojnym Bałtyku w latach trzydziestych, do tego na statku szwedzkim, narodu, znanego ze spokoju i dobroduszności.

Ale cóż. Tradycyjny schemacik wilka morskiego, o ciele pooranym bliznami z burd w spelunkach, krwawa dzikość większości występujących osób (w tym jeden łagodny Polak) żąda dla siebie ofiary. Efekt — dziki realizm groźnego żywiołu, o jakim wy ludzie z Radomia czy innego Krotoszyna nie macie żadnego pojęcia. Wspaniały zastrzyk emocji dla zblazowanych (książka była pisana przed wojną), żądnych mocnych i ostrych wrażeń, szczurów lądowych.

Tego wydźwięku książki nie potrafi zmienić fakt, że problemat psychologiczny głównego bohatera książki został przeprowadzony ciekawie i zakończony ostatnim akordem w sposób etycznie bardzo pozytywny.

Wypaczenie obrazu pracy na morzu wytknął również Krzyżanowski. Życie na statku wcale tak dzisiaj (t. zn. w r. 1938 — dziś tymbardziej) nie wygląda, nawet na tych kilkudziesięciu żaglowcach pur sang, które jeszcze istnieją, a w szczególności na dobrze zorganizowanych statkach szwedzkich, gdzie oficerowie i załoga nie są bynajmniej przedzieleni żelazną kurtyną. Wytknął zresztą szereg innych usterek rzeczowych (międzynarodowość zespołu, dziś b rzadką, nadmierną ilość ofcerów, nomenklaturę itp.) które pomijam, gdyż — jako się rzekło — nie piszę recenzji, a ilustruję jedynie książką p. Karczewskiej luźne spostrzeżenia o niedomaganiach naszej marynistyki.

SKOŃCZYĆ Z EGZOTYKĄ

Sęk w tym, że naszej literaturze brak wciąż jeszcze w spojrzeniu na morze owego dnia codziennego, pewnego quantum „zwykłości“, które osiągnęło już szybsze i bardziej konkretne życie nowych portów i nowego wybrzeża.

Już dziś i święto morza robi mniejsze wrażenie, co jest objawem dodatnim, gdyż dowodzi, że zrastamy się z morzem. Nikt przecież nie entuzjazmuje się nadmiernie tym, że otacza nas — atmosfera. Od zwykła rzecz. Lecz wielkie epopeje narodowe z tego zwykłego, codziennego życia wyrastają i z niego czerpią soki swych tematów. My pisząc o morzu, po większej części wciąż jeszcze świadomie czy bezwiednie tkwimy w egzotyce. **Czas już tę jednostron ność przełamać.**

A jak jest gdzieindziej?

Mało znana u nas marynistyka **Ibaneza** jest wyrazem głębokiego odwiecznego zżycia się narodu hiszpańskiego z Morzem Śródziemnym i wodami Atlantyku. Jego Mare Nostrum i śliczny Fior di Maio (Kwiat majowy) to obraz nadmorskiej Hiszpanii, na tle jej odwiecznych warunków życia i spraw najzwyklejszych lecz jakże głębokich. Rybacy Ibaneza czują swe morze każdym nerwem, tak jak chłop polski czuje glebę. Tkwiła w tym widać głębsza przyczyna, że ongiś Acernus-Klonowicz to nasze oranie właśnie obcym i niezrozumiałym sprawom morza przeciwstawił. U nas panuje wszechwładnie wpływ ziemi. Boryna, wybiegający nocą w gorączce do siejby, ślimak, gaworzący przy orce z przekornymi wróblami, czują każdą komórką ciała żywioł, w którym się poruszają. I to jest może najgłębszą przyczyną tych warunków, w jakich mogły powstać arcydzieła Reymonta i Prusa. Morze wciąż jeszcze jest — jako się rzekło — egzotyką i dużo jego przypływów i odpływów przeminie nim literatom naszym uda się podpatrzeć należycie postaci borynowych i ślimakowych wnuków, którzy zmienili żywioł dziadów i poszli żeglować.

OBRAZ CZY PROBLEM

Nie chce jednak przez to, co dotychczas napisałem, twierdzić, że wznowienie „Ludzi spod żagli“ było błędem.

Nim się zdobędziemy na marynistykę prawdziwą musimy przejść przez okres ząbkowania. Musimy przetrawić pewne maniery, aby je w przyszłości tym skutecz niej zwalczać. Rzetelnej literatury marynistycznej nie będzie bowiem wcześniej, nim się jej nie dopracujemy.

„Ludzie spod żagli“ mają zatym duże znaczenie jako eksperyment laboratoryjny, nie przeznaczony do zbyt szerokiego obiegu. Szkoda coprawda, że autorka nie poszła drogą najprostszą i nie dała nam rzetelnej morskiej powieści sportowej. Wyrzucał jej to swego czasu również Krzyżanowski. Proporcje nie uległyby wówczas zachwianiu, a sądząc po swobodzie władania piórem i żywości języka, otrzymalibyśmy utwór ciekawy i udany.

Może mi ktoś zarzucić, że wywody o charakterze syntetycznym ilustruję i argumentuję przykładami z jednej tylko książki. Tak się jednak nieszczęśliwie składa, że brak pod ręką (a również i na półkach wydawniczych) polskich powieści morskich. Zresztą wśród kilkunastu tytułów, które mogłyby wchodzić w grę przytłaczającą większość stanowią wznowienia, w tym jedna, czy dwie powieści. Nie więcej.

Morze jest wciąż dla nas obrazem, nie problemem. Stąd najłatwiej w marynistyce o reportaż.

Poświęcając rozważania prozie powieściowej odrzuciłem celowo zbiory nowel i krótszych opowieści, jak wznowione również po wojnie „Opowieści morskie" Salińskiego, obracające się zresztą koło tematyki egzotycznej. „Róża Korsarska" Rychlińskiego, niestety jeszcze nie wznowiona jest powieścią napoły fantastyczną. „Saga o Jarlu Broniszu" jak wspomniałem zasługuje na omówienie odrębne, na płaszczyźnie spojrzenia historycznego. Możnaby zatym zestawić „Ludzi spod żagli" tylko z „Dannemorą", jak to właśnie uczynił wydawca, łącząc obie książki w jednej serii.

„Dannemora" jednak to powieść pod względem artystycznym znacznie niższej rangi. Trzyma się jednak życia i jest plastycznym wyrazem przedwojennych stosunków gdyńskich, życia światowego portu i jego zajadłej rywalizacji z ówczesnym

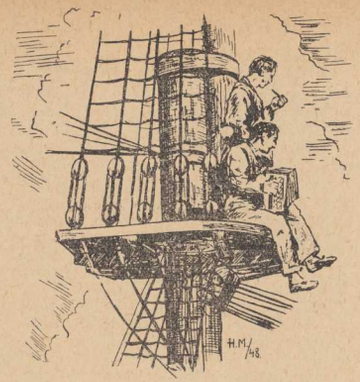

W. M. Gdańskiem. „Dannemora" to potrosze „Ziemia Obiecana" Reymonta spłycona i przeniesiona z Łodzi na wybrzeże. Otóż to. Jest ona przede wszystkim powieścią wybrzeża. Morze występuje na kartach książki tylko jako delikatne tło. Powieść Karczewskiej to powieść pełnego morza. O takim też zamierzałem pisać. Tak przeto zostałem zmuszony do oparcia argumentacji frasunków o jedyną reprezentacyjną powieść naszej rodzimej bałtyckiej marynistyki, czyli o „Ludzi spod żagli".

NASZE TRADYCJE

Na zakończenie garść luźnych uwag, nie związanych ściśle ze sprawami powieści morskiej, choć ważnych dla naszego spojrzenia na Bałtyk.

Przypomnijmy sobie jak to dawniej bywało w piśmiennictwie narodu, z którego wyszedł bądź co bądź czołowy marynista świata — **Conrad?**

Różnie bywało. Był nie tak znów dawno okres, gdy po pierwszej wojnie światowej zabrali się do pisania poniektórzy wilkowie morscy jak gen. Zaruski, czy początkujący literat i przejściowy marynarz J. B. Rychliński. Pisał też wtedy swe eposy Żeromski. Wtedy również powstały opowieści Salińskiego. Z czasem dopiero pałeczka sztafetowa marynistyki polskiej przeszła z rąk pracowników morza zdecydowanie do rąk laickich miłośników wodnistego żywiołu.

Lecz jeśli sięgnąć jeszcze dalej to okaże się, że mamy tradycje nie bogate coprawda, lecz również i nie ostatniej kondycji, do których nawiązać można i należy. Iluż bowiem ludzi w Polsce czytało przedziwne przygody imci Marcina Borzymowskiego w jego „Morskiej nawigacji do Lubeka" (1662). Przed wojną peregrynacje bałtyckie zapomnianego sarmaty wydał prof. R. Pollak. Czyż w liczbie przytoczonych wznowień nie znajdzie się również miejsce na ten ciekawy produkt przedrozbiorowej marynistyki?

Cóż bowiem uczeń szkoły średniej, licealista, wie o naszej morskiej przeszłości literackiej? Uboga to coprawda dziedzina, ale nie pustka zupełna. Nie wie nic, lub mniej niżby powinien.

Nad nauką o piśmiennictwie ojczystym ciąży jeszcze silnie przekleństwo Acernusa. Nie wie też nic o literaturze wybrzeża, o literaturze pomorskiej, choć często zna „Na skalnym Podhalu" Tetmajera, cośkolwiek Orkana, nie mówiąc o Śląsku Morcinka. W sprawach Pomorza inaczej, inaczej, inaczej. Choć bogatą puściznę pozostawił po sobie Hieronim **Jarosz Derdowski** nie mówiąc o innych. Choć należałoby odświeżyć również inne peregrynacje, **kabotażowe"** t. j. **„O panu Czorlińskim co do Pucka po sece jachoł".**

Zaciążył nad tymi rozważaniami burmistrz lubelski. Już po raz czwarty się nań powołuję. Tym razem na zakończenie i w przenośni. Skoro bowiem nam tak stanowczo markę pilnych oraczy wystawił, **pora przystąpić do uprawy nowej roli. Do orki na Bałtyku, na każdym, nawet na literackim zagonie.**

LESZEK PROROK

MARIAN PELCZAR

Z dziejów Pruszcza — wsi powiatu gdańskiego

DWANAŚCIE WSI otrzymał Gdańsk na własność z rąk szczodrego króla Kazimierza Jagiellończyka, kiedy w ową pamiętną niedzielę 16 czerwca 1454 roku, przyjmując w Elblągu hołd rajców gdańskich, nadawał ich miastu rozliczne przywileje i kładł tym podwaliny jego przyszłego dobrobytu. Wśród nadanych wsi był i Pruszcz — duża, gospodarczo i strategicznie ważna osada, położona na dawnym szlaku handlowym, starożytnej jeszcze „bursztynowej drodze", której etapy wyznaczają prehistoryczne wykopaliska. W granicach Pruszcza kilkakrotnie odkryto znaleziska sięgające zamierzłych epok, co świadczyło o dawnym osadnictwie tego miejsca.

Sama osada pojawia się w historii dopiero u zarania XIV wieku, u schyłku polskich piastowskich rządów na tym terenie, do tego bowiem czasu można odnieść wzmiankę o istnieniu bliżej nieznanej baszty fortyfikacyjnej w Pruszczu. W połowie natomiast XIV wieku, kiedy wielki mistrz Zakonu Krzyżackiego Henryk Dusemer von Arffberg przeprowadził regulację podgdańskich rzeczek Kłodawy, Gęsi i Raduni, zbudowano w tym właśnie miejscu w Pruszczu śluzę, by pobliskiemu Gdańskowi zapewnić stały dopływ potrzebnej wody. Jezioro utworzone wówczas w ten sposób przetrwało aż do roku 1823.

Połowy też XIV wieku sięgają

PIERWSZE WIADOMOŚCI O KOŚCIELE W PRUSZCZU,

Wymieniony zaś przy określaniu granic wioski w dokumencie z r. 1367 „księży młyn", wskazywałby na dawniejsze istnienie tutejszej parafii.

Kiedy zaś jesienią, 18 października, 1367 roku komtur gdański Ludeke von Essen nadawał wspomnianym dokumentem sołtysowi Jakubowi prawo zasiedlenia wsi Pruszcza na prawie chełmińskim i określał jej granice, była to już osada duża i zorganizowana, daleka od osad tworzonych na surowym korzeniu. Pruszcz liczy wówczas 89 łanów, z nich sołtys otrzymywał 8, a proboszcz kościoła 4, z pozostałych zaś 77 osadnicy płacą normalne czynsze, plebania pobiera z nich po korcu żyta i korcu owsa.

Już w następnych latach rozwija się w Pruszczu bujne życie gospodarcze: obok zagród wiejskich powstają gospody i kramy, duży młyn i piekarnia. Nie zmienia się natomiast obszar wsi ani w XIV wieku, ani w dalszych stuleciach — lustracje z XV wieku podają te same ilości łanów czynszowych, a lustracja z r. 1585 wymienia dokładnie 89 łanów znajdujących się we wsi. Zmieniali się jednak ich właściciele, poszczególne zaś gospodarstwa rosły lub malały. Z ciekawszych zmian zanotować należy, że w r. 1467 Jan vom Walde, burmistrz gdański, zakupił 4 wolne łany i zbudował w Pruszczu warowny dwór, zwany następnie przez długie lata „zamkiem". Nazwa ta przetrwała aż do początków wieku XIX, a jeszcze w r. 1828 pokazywano przy jednej z ulic osady miejsce, gdzie zamek ów miał istnieć. Szczegół ten wiąże się z obronnością Pruszcza i jego znaczeniem jako ważnego punktu strategicznego w stosunku do pobliskiego Gdańska. Tu przecież znajdowało się w zbudowanej śluzie źródło dopływu wody do miasta — opanowanie śluzy było równoznaczne z pozbawieniem Gdańska tego ważnego czynnika życia.

Nic więc dziwnego, że Gdańsk z uporem dążył do uzyskania prawa własności tej osady.

Już w przywileju Władysława Jagiełły z r. 1410 (przywileju, który nie doczekał się realizacji) nadaje król miastu Gdańskowi Pruszcz i pięć innych wsi obok leżących. Te same pragnienia żywi Gdańsk, gdy jego delegat wysłany zostaje wraz z innymi przedstawicielami Związku Pruskiego do cesarza Fryderyka III w r. 1453, w sprawach dotyczących zatargu miasta z Zakonem Krzyżackim. Starania te, jak wiadomo, pozostały bezskuteczne. Pragnienia miasta spełniły się dopiero w r. 1454, gdy Gdańsk po zrzuceniu jarzma krzyżackiego otrzymał od Kazimierza Jegiellończyka tę ważną osadę, która od tej chwili aż po rok 1814 wchodziła prawnie w obręb posiadłości miejskich Gdańska.

BURZLIWE BYŁY DZIEJE TEJ OSADY.

Nie było wojny na tym terenie, by Pruszcz nie doznał w niej mniejszych czy większych szkód. Już w r. 1433 Husyci niszczą Pruszcz w czasie wojny Jagiełły z Krzyżakami. Podczas wojny trzynastoletniej czterokrotnie był Pruszcz widownią zaciętych walk, Gdańsk zaś dwukrotnie pozbawiony dopływu wody. Nie oszczędziły Pruszcza i wojna polsko-krzyżacka w r. 1520, i najazd księcia brunświckiego w r. 1563, i oblężenie Gdańska przez Batorego w r. 1577, a w okresie najazdów szwedzkich dwukrotnie wojska pustoszą osadę — raz Gustawa Adolfa w listopadzie 1627, drugi raz generała Steinbocka w kwietniu 1656. Podobnie ucierpiał Pruszcz i w czasie wielkiej wojny północnej w początkach XVIII wieku oraz w sto lat później w kampaniach napoleońskich.

Mimo to osada rozwijała się ustawicznie, świadczył o tym chociażby wzrost ilości jej ludności. I tak z końcem XVII wieku liczył Pruszcz 429 mieszkańców, w r. 1793 już 734, w r. 1890 ponad 2300, a w latach przed ostatnią wojną ludność jego przekroczyła liczbę 3000 osób.

W parze z tym szedł i dobrobyt gospodarczy tej ważnej dla Gdańska, podmiejskiej osady.

ZNACZENIE PRUSZCZA POLEGAŁO JEDNAK I NA JEGO KULTURALNYCH WARTOŚCIACH.

Wśród nich zaś na naczelnym miejscu wymienić należy dawny zabytkowy kościół. Stanowił on zresztą, podobnie jak śluza, ważny punkt fortyfikacyjny, znany już z walk XV wieku. Oba te punkty oporu znajdowały prawdopodobnie dalsze oparcie we wspomnianym „zamku" Jana vom Walde.

Sam kościół pochodził z połowy XIV wieku. Zbudowany przez nieznanego architekta na prostym planie trzech prostokątów: kwadratowej wieży, szerokiej trójdzielnej nawy i mniejszego prezbiterium. Ten prosty plan pierwotny uzupełniono przez dobudowanie niewielkiej zakrystii od północy i przedsionka u południowego wejścia do kościoła.

Dzisiejsze mury kościoła nie pochodzą w całości z XIV wieku. Początkowo i nawa i prezbiterium były równej czy niemal równej wysokości, a konstrukcja wnętrza tworzyła budowlę halową. Po zburzeniu kościoła w wojnie 1433 i dalszych uszkodzeniach w walkach wojny trzynastoletniej przebudowano kościół na bazylikowy, podnosząc równocześnie wiązania dachowe nawy głównej znacznie ponad prezbiterium. Mimo wspomnianych późniejszych walk i uszkodzeń oraz kilkakrotnego złupienia wnętrza, mury kościoła i wieża przetrwały już od tego czasu w niezmienionym stanie po dziś dzień. Kościół w Pruszczu stanowi w ten sposób ciekawy i wyjątkowy zabytek murowanego budownictwa wiejskiego, jako jedyny na tym terenie bazylikowy kościół wiejski.

Nie znamy nazwisk pierwszych proboszczów kościoła w Pruszczu. Pozostając od r. 1454 pod patronatem rady miejskiej Gdańska przeszedł i ten kościół (pod wpływem rosnącej w Gdańsku fali reformacji) w połowie w. XVI w ręce protestantów.

Kościół w Pruszczu posiadał szereg wartościowych dzieł sztuki z dawnych wieków. Wnętrze jego zdobiły szczególnie cenne rzeźby i malowidła, wśród nich bogato rzeźbiony tryptyk ołtarza głównego z przełomu wieków XV—XVI, znajdujący się obecnie w pracowni konserwatorskiej w Warszawie. Nie mniej piękne rzeźbione stalle i ambona pochodzą z końca XVI wieku. Z licznych obrazów, częściowo tylko zachowanych, najcenniejszy jest cykl, ilustrujący dziesięć przykazań, przypisywany jednemu z uczniów słynnego gdańskiego malarza Antoniego Möllera.

Kościół w Pruszczu posiadał i trzy dzwony, z tych jeden z połowy XVI w. Dziś nie istnieje z nich żaden. Zniszczeniu uległy również organy.

W R. 1946 TROSKLIWA RĘKA KONSERWATORA ZAOPIEKOWAŁA SIĘ TYM ZABYTKIEM PRZESZŁOŚCI

— który przetrwał i ostatnie działania wojenne, ponosząc jednak poważne uszkodzenia. W obrębie dwu lat dzięki funduszom Ministerstwa Kultury i Sztuki i kredytom Delegatury Rządu do Spraw Wybrzeża odbudowano zniszczony dach, naprawiono wyrwy w ścianach, odczyszczono wnętrze i odrestaurowano najcelniejsze z zachowanych obrazów. Umożliwiło to oddanie w dniu 5 września r. b. zabytkowej świątyni na nowo do użytku katolickiej ludności Pruszcza.

MINĘŁO 600 LAT

— od chwili, gdy ujęte sztucznym kanałem wody Raduni zasilać poczęły tworzące się wtedy wodociągowe i fortyfikacyjne urządzenia Gdańska. Minęło 600 lat od chwili, gdy na gdańskiej wyżynie stawiać zaczęto zręby nowej, murowanej świątyni — kościoła w Pruszczu.

Różne koleje w ciągu tych sześciu wieków przechodziła podgdańska wieś — stary Pruszcz. Sięgając początkami swymi Łokietkowych czy może nawet Mściwojowych czasów, przetrwał okres krzyżackich rządów, rozwijał się świetnie w epoce rządów polskich, zniósł półtorawieczną niewolę pruską, doczekał się nowej wolności.

A starodawny, zabytkowy kościół w Pruszczu, świadek tylu historycznych przemian, oddany na nowo Bożej służbie, trwać będzie nadal na straży nad wodami cicho szemrzącej kaszubskiej Raduni.

„Nautica"

AGENCJA OKRĘTOWA Sp. z o.o.

Maklerzy okrętowi Agenci frachtowi

GDAŃSK-WRZESZCZ Grunwaldzka 66

tel. 413-89, 418-58

Gdynia, Świętojańska 42, tel. 35-40

Szczecin, Śląska 5, tel. 32-45

Ustka-Port— tel. 303

Telegraf: „NAUTICA".

NAJNOWSZE POLSKIE PRACE HISTORYCZNE POŚWIĘCONE ZIEMIOM ODZYSKANYM

Wobec wielkiego i uzasadnionego zainteresowania Ziemiami Odzyskanymi, zainteresowania spotęgowanego Wystawą Wrocławską, odczuwa się także dość powszechnie potrzebę bliższego zapoznania się z przeszłością Ziem Odzyskanych. Nauczyciel i uczeń zechcą nieraz pogłębić swą wiedzę, nie poprzestając na minimum wymaganym przez programy. Kierownik świetlicy, działacz kulturalny i społeczny, literat czy publicysta, każdy wreszcie światlejszy obywatel zapragną niewątpliwie także zapoznać się bliżej z osobliwymi losami tych ziem.

I każdy z nich stanie wobec pytania, co czytać?

Otóż na szczęście jest już co czytać. Historycy polscy wraz z prehistorykami, geografami i językoznawcami nie zmarnowali czasu. Począwszy od roku 1945 wydali drukiem kilkadziesiąt prac, które wyliczymy poniżej, grupując je wedle poszczególnych zagadnień. Charakterystyczną cechą olbrzymiej większości tych prac jest, że pisane są przez wybitnych uczonych i stoją na najwyższym poziomie naukowym, jednocześnie zaś napisane są językiem przystępnym i jasnym, zrozumiałym dla każdego. Celują w tym zwłaszcza prace ogłaszane przez trzy instytuty naukowo-badawcze:

Instytut Zachodni w Poznaniu (skrót: Z.)

Instytut Śląski w Katowicach (skrót S)

Instytut Bałtycki w Bydgoszczy, ostatnio przeniesiony do Gdańska (skrót B) oraz przez Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych (PZWS).

Na początku wyliczymy prace poświęcone zagadnieniom ogólniejszym, stanowiącym niejako wstęp i wprowadzenie do właściwych dziejów Ziem Odzyskanych. Jak wiadomo, Ziemie Odzyskane stanowią naturalną geograficzną jedność z całością ziem polskich. Tę charakterystyczną cechę na tle **ogólnego obrazu wpływu warunków geograficznych na dzieje Polski** poznajemy z pracy:

(1) Kiełczewska M. „O podstawy geograficzne Polski" — Poznań 1946, stron 146 i mapy **(Z)**.

Zagadnienia geopolityczne Ziem Odzyskanych na tle historycznym omawia w sposób przystępny broszura:

(2) Kiełczewska M., Grodek A. „Odra — Nisa najlepsza granica Polski" — Poznań 1946, 2 wydanie, str. 66 **(Z)**.

Ważny problem **pochodzenia i praojczyzny Słowian**, która znajdowała się właśnie nad Odrą i Wisłą, oraz ich starą i dawną a wcale wysoką kulturę, przedstawiają prace:

(3) Lehr-Spławiński T. „O pochodzeniu i prajczyźnie Słowian" — Poznań 1946, str. 237 i mapy **(Z)**.

(4) Lehr-Spławiński T. „Początki Słowian" — Kraków 1946, krótkie popularne ujęcie pracy poprzedniej.

(5) Kostrzewski J. „Kultura prapolska" — Poznań 1948, str. 605 i 261 rycin **(Z)**.

(6) Kostrzewski J. „Prasłowiańszczyzna" — Zarys dziejów i kultury Prasłowian, — Poznań 1946, str. 164.

Profesor Lehr-Spławiński opracował nadto mapę ścienną przedstawiającą metodą kartograficzną pierwotną praojczyznę Słowian i ich rozprzestrzenienie w Europie.

Stosunkom polsko-niemieckim poświęcili swe prace czterej autorzy:

(7) Wojciechowski Z. „Polska—Niemcy. Dziesięć wieków zmagania" — Poznań 1946 str. 267. **(Z)**.

(8) Feldman J. „Problem polsko-niemiecki w dziejach" — Katowice 1946, str. 174 **(S)**.

(9) Friedberg M. „Kultura polska a niemiecka. Elementy rodzime a wpływy niemieckie w ustroju i kulturze Polski średniowiecznej" — Poznań 1946, tom I str. 363, tom II str. 310. **(Z)**.

(10) Kaczmarczyk Z. „Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry" — Poznań, 1945, str. 267 **(Z)**.

Wojciechowski i Feldman zajęli się głównie politycznymi stosunkami polsko-niemieckimi. Friedberg obalił raz na zawsze twierdzenie, jakobyśmy prawie wszystko w naszej kulturze wszechpolskiej zawdzięczali Niemcom, wykazał jak silne były inne wpływy, zwłaszcza francuskie i włoskie, oraz jak wielki był własny twórczy wkład polski. Kaczmarczyk sprowadził do właściwych rozmiarów znaczenie tzw. kolonizacji na prawie niemieckim. Wszyscy ci autorzy poświęcają wiele miejsca Ziemiom Odzyskanym, które były wszakże terenem najsilniejszego ścierania się polskości z niemczyzną.

Ciekawemu zjawisku dobrowolnego **odpływu ludności niemieckiej** w wieku XIX i XX z terenów dzisiejszych Ziem Odzyskanych poświęcił studium:

(11) Szaflarski J. „Ruchy ludnościowe na pograniczu polsko-niemieckim w ciągu ostatniego wieku" — Gdańsk — Bydgoszcz — Szczecin 1947, str. 62 i mapka **(B)**.

Wiele uwagi poświęcili **stosunkom polsko-niemieckim** oraz dziejom Ziem Odzyskanych autorzy najnowszej historii Niemiec w polskim języku:

(12) Tymieniecki K. „Dzieje Niemiec do początku ery nowożytnej" — Poznań 1948, str. 664 **(Z)**.

(13) Pajewski J. „Niemcy w czasach nowożytnych (1517—1939)" Poznań 1947, str. 343 **(Z)**.

Pośrednio wiążą się z dziejami Ziem Odzyskanych, a zwłaszcza **„Wielkiego Pomorza"** prace poświęcone walce o Bałtyk oraz flocie polskiej:

(14) Górski K. „Polska w zlewisku Bałtyku" — Gdańsk — Bydgoszcz — Szczecin 1947, str. 238 **(B)**.

(15) Konopczyński W. „Kwestia bałtycka do XX wieku" — Gdańsk — Bydgoszcz — Szczecin 1948. str. 216 i mapy **(B)**.

(16) Lepszy K. „Dzieje floty polskiej" — Gdańsk — Bydgoszcz — Szczecin 1947, str. 351 **(B)**.

(17) Lepszy K. „Zarys dziejów marynarki polskiej" — Kraków 1947, str. 83 (popularne ujęcie poprzedniej pracy).

O znaczeniu Odry piszą:

(18) Wojciechowski Z. „Polityczne znaczenie Odry w czasach historycznych" — Przegląd Zachodni 1947 nr. 9, oraz to samo w studium zbiorowym: „Monografia Odry" — Poznań 1948, str. 1—18 **(Z)**.

(19) Piwarski K. „Odra rzeka pokoju" — Warszawa 1947, str. 229 (zawiera szereg szkiców poświęconych problemom związanym z dziejami Ziem Odzyskanych).

Całość dziejów Ziem Odzyskanych starała się objąć seria popularnie ujętych wykładów, wydana później drukiem w ilości kilkudziesięciu, wyczerpanych już przeważnie, zeszycików:

(20) Uniwersytet Jagielloński i Akademia Górnicza **„Kurs Naukowo-Informacyjny o Ziemiach Zachodnich"** Kraków 1945 i 1946.

Na uwagę zasługują szczególnie następujące zeszyciki: nr. 3, **Widajewicz J.** „Związki Pomorza Zachodniego z Polską" — str. 22, nr. 4, **Jamka R.** „Pradzieje Śląska" — str. 21 i 5 mapek, nr. 5, **Piwarski K.**, „Zarys dziejów Śląska" — str. 40, nr. 11, **Dąbrowski J.** „Ziemie Zachodnie jako tama ekspansji niemieckiej na wschód" — str. 17, nr. 13, **Lehr-Spławiński T.** „Zagadnienie kaszubskie a plemiona słowiańskie na wschodnim pograniczu Niemiec w wiekach średnich" — str. 15 i mapka, nr. 16, **Jamka R.** „Prusy Wschodnie w dobie prehistorii" — str. 15 i 3 mapki, nr. 20, **Jamka R.** „Pomorze w czasach prehistorycznych" — str. 15 i 5 mapek, nr. 21, **Bujak F.** „Ogólny zarys historii osadnictwa niemieckiego na zachodnich ziemiach Polski" — str. 51, nr. 22, **Inglot S.** „Kolonizacja wewnętrzna a napływ Niemców do Polski od XVI—XVIII w." — str. 72, nr. 23, **Muench H.** „Pochodzenie i rozwój miast Polski zachodniej w wiekach średnich" — str. 33 i mapki, nr. 24, **Konopczyński W.** „Walka z niemczyzną o Bałtyk" — str. 26.

Informacje historyczne o miastach na Ziemiach Odzyskanych zestawił:

(21) Grabski W. J. „200 miast wraca do Polski" — Poznań 1947, str. 461. Pożyteczna ta praca znanego powieściopisarza, zawiera, niestety, tu i ówdzie nieścisłości, gdyż oparta jest w znacznej części na materiale przestarzałym.

Nie dziesiątki ale setki **życiorysów** wybitniejszych osób żyjących i działających na terenie Ziem Odzyskanych od czasów najdawniejszych aż do dwudziestego wieku włącznie daje:

(22) „Polski Słownik Biograficzny" — wydany od r. 1935 przez Polską Akademię Umiejętności w Krakowie. Życiorysy te, pisane przez fachowych historyków pod kontrolą najwybitniejszych uczonych polskich, skupionych w komitetcie redakcyjnym, podają wyczerpujące, a ujęte krótko i zwięźle dane i daty o każdej z osób, na końcu zaś podają zawsze spis książek, w których można znaleźć obszerniejsze informacje o danej osobie. Alfabetyczny układ życiorysów ułatwia orientację. Znajdziemy tam wszystkich Bolków, książąt Śląskich, Bogusławów i Eryków z Pomorza Zachodniego, poetę Dantyszka, chlubę Gdańska i Polski, Albrechta pierwszego księcia Prus i wielu, wielu innych. Nie zorientuje się nigdy należycie w przeszłości Ziem Odzyskanych, kto nie sięgnie po informacje do Polskiego Słownika Biograficznego (Słownik można zaprenumerować w Pol. Akademii Umiejętności, Kraków ul. Sławkowska 17, tamże są do nabycia tomy wydane przed wojną).

Całość dziejów Śląska przedstawia obszerna praca:

(23) Piwarski K. „Historia Śląska" — Katowice 1946, str. 448 **(S)**.

W krótki i zwięzły sposób skreślił dzieje tej ziemi w okresie średniowiecznym.

(24) Kaczmarczyk Z. „Krótkie dzieje Śląska w wiekach średnich: Warszawa 1946 , str. 88. **(PZWS)**.

Szeroko uwzględnione są dzieje Śląska w trzech, prawie równocześnie wydanych monografiach, poświęconych temu regionowi:

(25) „Śląsk — Ziemia i ludzie" — praca zbiorowa pod red. R. Lutmana i K. Popiołka, Katowice — Wrocław 1948, str. 283 i mapa, ilustrowane **(S)**.

(29) Dolny Śląsk — praca zbiorowa pod red. Sosnowskiego i M. Suchockiego, Poznań 1948, część I str. 480, część II str. 524, mapy i liczne ilustracje. **(Z)**.

(27) Oblicze Ziem Odzyskanych. Dolny Śląsk, Tom I Przyroda. Gospodarka, str. 459, tom II Dzieje. Kultura, str. 773, Wrocław 1948 (Książnica-Atlas).

Zagadnieniom specjalnym w dziejach Śląska poświęcone są prace:

(28) Kaczmarczyk Z. „Problem germanizacji Śląska w świetle nowych badań"— Przegląd Zachodni 1947 nr. 11—12, str. 931—943 **(Z)**.

(29) Maleczyński K. „Dzieje Wrocławia — część I (do r. 1526)" — Katowice— Wrocław 1948, str. 344 **(S)**.

(30) Maleczyńska E. „Polskie tradycje naukowe i uniwersyteckie Wrocławia" — Katowice 1946, str. 84 **(S)**.

(31) Barycz H. „Uniwersytet Wrocławski w przeszłości i teraźniejszości" — Katowice 1946, str. 32 **(S)**

(32) Plezia M. „Palatyn Piotr Włostowicz. Sylwetka z dziejów Śląska w XII wieku" — Warszawa 1947 **(PZWS)**.

(33) Popiołek F. „Dzieje hutnictwa żelaznego na ziemiach polskich" — Katowice — Wrocław 1947, str. 136. **(S)**.

(34) Tyrowicz M. „Polski kongres polityczny w Wrocławiu 1848 r." Kraków 1946, str. 112.

(35) Popiołek K. „Trzecie śląskie powstanie" — Katowice 1946, str. 217 **(S)**.

(36) Ogrodziński W. „Dzieje piśmiennictwa śląskiego tom I — Katowice 1946, str. 214. (S)

W przygotowaniu znajdują się prace poświęcone dziejom Ziemi Lubuskiej: **Grodecki R.** Ziemia Lubuska w wiekach średnich i **Monografia Ziemi Lubuskiej** z wydaniem ich (przez Instytut Zachodni) w najbliższym czasie, na razie zaś musi wystarczyć praca.

(37) Krygowski B. Zajchowska S. „Ziemia Lubuska, opis geograficzny i gospodarczy" — Poznań 1946, str. 288 **(Z)**. Zawiera ona także informacje historyczne ale bardzo skąpe i nie zawsze dokładne.

Najbardziej ciekawemu **problemowi narodowościowemu** w przeszłości Ziemi Lubuskiej poświęcono ostatnio dwa cenne artykuły:

(38) Sczaniecki M. „Dzieje ludności polskiej na Ziemi Lubuskiej" — Przegląd Zachodni 1948, nr. 5, str. 479—494 **(Z)**.

(39) Sczaniecki M. „Kwestia narodowościowa i wyznaniowa w przeszłości Ziemi Lubuskiej" — Przegląd Zachodni 1948 nr. 6, str. 586—600 **(Z)**.

Wiadomość o resztkach Polaków, które przetrwały aż do ostatnich czasów w tych stronach, można znaleźć w publikacji:

(40) Polacy na Ziemi Lubuskiej i na Łużycach przed 1939 r. — Tajny memoriał niemiecki opracowali: K. Kolańczyk i W. Rusiński, Poznań 1946, str. 96 **(Z)**.

Dziejom Pomorza Zachodniego poświęcone są prace:

(41) Witkowski J. „Pomorze Zachodnie w stosunku do Polski", Poznań 1946, str. 223 **(Z)**.

(42) Gustowski L. „Polska a Pomorze Odrzańskie" — Warszawa 1946, str. 148 **(PZWS)**.

(43) Labuda G. „Wielkie Pomorze w dziejach Polski" — Poznań 1947, str. 79 i tablica (obejmuje także dzieje Ziemi Lubuskiej, Pomorza Gdańskiego i Prus Wsch.).

Ścieranie się wpływów polskich i niemieckich na tym terenie przedstawili, ograniczając się do krótszych okresów czasu:

(44) Maleczyński K. „Polska i Pomorze Zachodnie w walce z Niemcami w wieku XIV i XV" — Gdańsk — Bydgoszcz — Szczecin 1946, str. 117 **(B)**.

(45) Kucner A. „Ekspansja Brandenburgii nad Bałtykiem w w. XV — XVIII" — Poznań 1947, str. 101 **(Z)**.

Także osoby poszczególnych książąt interesowały historyków. O ciekawej postaci wnuka Kazimierza Wielkiego pisze:

(46) Peradzka K. „Kaźko szczeciński (1345—1377) na tle polityki pomorskiej Kazimierza W." — Warszawa 1947, str. 32 **(PZWS)**.

W znacznie **wcześniejsze czasy** przenosi nas druga praca, poświęcona postaci jednego z pierwszych książąt pomorskich, lennika naszego Mieszka Starego:

(47) Myśliński K. „Bogusław I ks. Pomorza Zachodniego" — Bydgoszcz — Gdańsk — Szczecin 1948, str. 58 **(B)**.

Gdańsk i Pomorze Gdańskie posiadają dwie cenne prace:

(48) Piwarski K. „Dzieje Gdańska w zarysie" — Bydgoszcz 1946 str. 308 **(B)**. str. 308 **(B)**.

(49) Pelczar M. „Polski Gdańsk" — Gdańsk 1947, str. 192, ilustr.

Specjalnemu zagadnieniu skarbowości „Prus Królewskich" czyli Pomorza Gdańskiego w latach 1466—1569 poświęcił ściśle naukowe studium:

(50) Deresiewicz J. „Z przeszłości Prus Królewskich" — Poznań 1947, str. 218.

Zarówno Pomorza jak i Prus Wschodnich dotyczy praca:

(51) Łowmiański H. „Polityka ludnościowa Zakonu Niemieckiego w Prusach i na Pomorzu" — Gdańsk 1947, str. 72 i mapa **(B)**.

Dziejom Prus Wschodnich (Pomorza Mazowieckiego) poświęcone są prace:

(52) Górski K. „Krótkie dzieje Prus Wschodnich" — Warszawa 1946, str. 92, ilustr. **(PZWS)**.

(53) Piwarski K. „Dzieje Prus Wschodnich w czasach nowożytnych" — Gdańsk— Bydgoszcz 1946, str. 384 **(B)**.

Historią krzyżaków zajęli się:

54) Górski K. „Państwo krzyżackie w Prusach" — Gdańsk — Bydgoszcz str. 295 **(B)**.

(55) Zajączkowski S. „Dzieje Zakonu Krzyżackiego" — Łódź (wyd. „Książka").

Kulturalnym wpływom polskim w Prusach Wschodnich poświęciła pracę:

(56) Kawecka-Gryczowa A. „Zarys dziejów piśmiennictwa polskiego w Prusach Wschodnich" — Warszawa 1946 **(PZWS)**.

Szereg drobniejszych ale bardzo ciekawych przyczynków do dziejów Prus Wschodnich ogłosił Instytut Mazurski w Olsztynie w swym czasopiśmie: Komunikat Działu Informacji Naukowej, seria prehistorii i historii (między innymi **E. Sukertowej-Biedrawiny** o Gizewiuszu, **W. Chojnackiego** o J. K. Sembrzyckim redaktorze „Mazura" w latach 1883—1885, **J. Mitkowskiego** o Wojciechu Kętrzyńskim, **M. Tyrowicza** o polskim ośrodku rewolucyjnym w Królewcu w latach 1845—1846).

Na zakończenie wspomnieć trzeba, że pewna liczba czasopism stale zamieszcza rozprawy i artykuły poświęcone dziejom Ziem Odzyskanych. Są to przede wszystkim.

Przegląd Zachodni" — miesięcznik Instytutu Zachodniego, Poznań, wychodzi od roku 1945.

„Jantar" — kwartalnik Instytutu Bałtyckiego, Bydgoszcz, obecnie Gdańsk, od r. 1946.

„Zaranie Śląskie" — kwartalnik Instytutu Śląskiego, Katowice, od r. 1945.

„Śląsk — miesięcznik ilustrowany, Wrocław od r. 1946.

„Strażnica Zachodnia" — wyd. Pol. Związek Zachodni.

Tygodniki: **„Odra"** i **„Szczecin"** (obecnie: **„Tygodnik Wybrzeża"**).

JÓZEF MITKOWSKI

CZYTAJCIE
KURIER SZCZECIŃSKI
Pierwszy Dziennik Pomorza Zachodniego

Barwą i światłocieniem a la Goya

O LATACH WOJNY*)

Dość niezwykłe było wejście do literatury Tadeusza Borowskiego. Jeszcze zagranicą, na Zachodzie, wydał on pierwszą swą książkę **„Widziałem Oświęcim“**, a już drugą, **„Pożegnaniem z Marią“** ubiegał się o czołową nagrodę literacką kraju. I od razu znalazł się tuż za takimi prozaikami, jak Andrzejewski czy Rudnicki — nie często zdarza się tak szybki pisarski awans. Gdybyż chodziło jeszcze o kolubrynę na wzór opasłych tomisk Gołubiewa. Lecz „Pożegnanie z Marią“ liczy pięć skromnych opowiadań i ledwie 180 stron druku. Doprawdy, musi być coś niezwykłego w debiucie młodego pisarza‘

Właściwie głośny stał się Borowski jeszcze przed ukazaniem się „Pożegnania“. Poruszenie wywołały już opowiadania, drukowane po czasopismach. A na dobrą sprawę zaczęło się od... piłki nożnej... Historia bardzo wymowna dla tego pisarstwa.

W jednym z opowiadań przedstawił Borowski mecz piłki nożnej w obozie koncentracyjnym. Skandal nielada, niebywałe wykroczenie przeciw kanonom i honorowi narodowej martyrologii! Dziś, po przeczytaniu „Pożegnania“, widzi się, że ten epizod piłkarski odsłania niejako w skrócie całą istotę ideologii i artyzmu Borowskiego.

Bo istota tej prozy, mocnej i świeżej, tkwi w metodzie śmiałego, niezałganego, demaskatorskiego kontrastowania. W bezlitosnym ukazywaniu przeciwieństw losów ludzkich; osobliwej hierarchii obozów koncentracyjnych; antagonizmu grup społecznych. A wszystko to na tle kryzysu samego pojęcia człowieczeństwa. Inny świetny debiutant, Jerzy Broszkiewicz, mówi również w swym „Oczekiwaniu“ o granicach ludzkiej wspólnoty, o granicach śmierci i życia, głodu i godności. Borowski nawet o tym nie mówi, on to ukazuje.

Już w opowiadaniu tytułowym tomu, w „Pożegnaniu z Marią“, czujemy całą prawdę różnicy, jaka zachodzi między dolą starej doktorowej Żydówki, czy pół-Żydówki Marii, a dolą tych Polaków, którzy — zakonspirowani w firmie budowlanej — handlują na lewo wapnem czy w tramwajarskich czapkach na głowie rozwożą wyrabiany przez siebie bimber. Głucho domyślamy się też doli stłoczonych w sąsiedniej szkole chłopów, którzy ratowani przed wysyłką do Prus, stają się przedmiotem całego zorganizowanego przez specjalistów — pośredników procederu.

W trzech opowiadaniach obozowych „Dzień na Harmenzach“, „Proszę państwa do gazu“ i „Śmierć powstańca“ kontrast między przeznaczeniem prominentów obozu i „muzułmanów“ ujawnia się w sposób szczególnie przejmujący. Kiedy Beker, Żyd o twarzy zmiętej i postarzałej, zwierza się: „Tadek, idę do komina... Daj mi co zjeść. Na ten ostatni wieczór“, — rozumiemy całą różnicę, jaka istnieje między ludźmi idącymi na śmierć w krematorium, a tymi, którzy odchodzą na ciastka z kremem... „wprost od mamy“.

W ostatnim opowiadaniu „Bitwa pod Grunwaldem“ zasada podziału przeniesiona zostaje na najszersze grupy ludzkie, na dwa niejako przeciwstawne sobie światy: Wschodu i Zachodu. W byłym obozie koncentracyjnym zamknięci są pod kontrolą żołnierzy amerykańskich Polacy z rozmaitych obozów, z robót, z armii. Wahają się między ojczyzną i emigracją, tak jak grupa przewijających się przez obóz Żydów wśród ciężkiej niepewności musi wybrać między „krajem bolszewików“, Zachodem i własną ojczyzną, Palestyną, do której ze zwątpieniem w sercu się kierują. W rocznicę bitwy pod Grunwaldem żydówkę wracającą ze spotkania w lesie i przekradającą się przez mur dosięga kula zaspanego strażnika amerykańskiego. Polacy w przededniu transportu, który bezpowrotnie rozproszy ludzi, rzucają na wieczorne ognisko słomiane kukły esesmanów lub w batalionie podległym Amerykanom wznoszą swój śpiew, głucho, zacięcie wbijając w beton takt.

Na te zasadnicze niejako dysproporcje dziejowe między narodami posiadającymi, rozsiadłymi wygodnie w swej pewności, a innymi, dającymi jedynie stale swą krew i pot, rzutuje Borowski obraz wewnętrznych różnic w środowisku polskim. Zaiste, niewiele łączy nobliwe towarzystwo narodowe udające się na mszę z pułkownikami i biskupem z czującymi się proletariatem ateuszami z obozów.

— „Cóż jest między nami wspólnego? — rozłożyłem ręce z emfazą. — Mamy tak różne doświadczenia życiowe! On całą wojnę był gdzieś tam w wielkim świecie, co to wiesz, bohaterstwo i Ojczyzna, i trochę Boga. A myśmy mieszkali gdzie-indziej, co to brukiew, pluskwy i flegmony. On na pewno jest syty, mnie się chce jeść. On na dzisiejszą uroczystość patrzy pod kątem Polski — ja gulaszu i jutrzejszej postnej zupy. Jego gesty będą niezrozumiałe dla mnie, moje zbyt tuzinkowe dla niego, a obaj sobą troszeczkę pogardzamy“. (135—136)

Niewysokie jest mniemanie Borowskiego o człowieku. Niekiedy prawie wątpi się o jego humnistycznej postawie. Ale nie! Jest to tylko **humanizm świadom swego ostatecznego zagrożenia.** Niczego ne ukrywający, patrzący prosto w oczy własnej prawdzie. Zwierzęca walka o egzystencję stała się prawem życia, nici onieśmielonego, wstydzącego się samego siebie, braterstwa ludzkiego, są wątlutkie, nikłe, prawie niedostrzegalne. „W obozie... panuje zawistna sprawiedliwość: gdy możny upadnie, przyjaciele starają się, by upadł jak najniżej“.

Kantowska zasada o traktowaniu każdego człowieka jako samoistnego celu, nigdy jako środka, leży pogwałcona, złamana, odrzucona. Na rocznicę Grunwaldu ktoś w obozie kupił sobie, jak powiada, i ściągnął — Niemrę. Złapią ją jutro?

— „O, wielkie zmartwienie — głos mu nieco drgał jakby w zadyszce — A niech ją złapią. Będzie mi potrzebna, albo co?“ (173).

W tym samym opowiadaniu profesor z przerażającą szczerością przyznaje się, że zastrzeloną co dopiero młodą Żydówkę chciał mieć, „już prawie miał“... Jeszcze w obozie inteligent taką wiedzie rozmowę z b. dywersantem o życiu po wojnie :

— „Myślisz, że będziesz umiał żyć? Albo będziesz się bał wiecznie nie wiadomo jakich strachów, albo będziesz grabił oburącz, gdzie się da, bo w co będziesz wierzył?“ (122).

Borowski wnika głęboko w misterium tremendum przeżytego czasu, z jego zarażeniem pogardą, z eksploatacją człowieka, z traktowaniem go jak łupu czy narzędzia. Oblicze człowieczeństwa w opowiadaniach Borowskiego jawi nam się pogrążone w mroku jak w tej frazie z opisu uroczystości grunwaldzkiej, kończącej książkę: „Twarz powlokła się meduzim blaskiem, zgasła wraz z ostatnią rakietą i poszarzała jak wystygły popiół“. Tylko nastrój smutku połączonego z zawstydzeniem i jakiejś szorstkiej litości jest przy czytaniu „Pożegnania z Marią“ zaświadczeniem niewygasłej do końca ludzkości.

Lecz niezwykłość książki Borowskiego nie leży jedynie w tematyce, w refleksji, jaką budzi. Wstrząs, jaki wywołuje w czytelniku, możliwy jest jedynie dzięki bardzo **szczęśliwemu zgraniu jej zawartości tematycznej z formą, jaką znalazła na swe usługi.** Odpowiedniość obu tych elementów jest tu zadziwiająca.

Język Borowskiego jest świadomie beznamiętny, rzeczowy, niemal oschły — jak epoka sama. Jedynie podskórnie drga w nim tłumione wzruszenie. Autor broni się przed nim. Z momentów poetyckich wyrywa czytelnika rychło zgrzytem, słowem, które szokuje i otrzeźwia. Co raz umieści Borowski w tok swej prozy wstręty brzydkie, brutalne, naturalistyczne, przekreślające wszelką ładność, wszelką łatwą nastrojowość.

Oto seria znamiennych porównań ze świata zwierzęcego:

„... z błyskiem zdziwienia w załzawionych, **krowich** oczach.

Miała szerokie, rozłożyste biodra, dobre do rodzenia“.

— „(na tapczanie), **jak duszące się ryby na piasku**, leżeli pijani ludzie“.

— „Maria pogłaskała ją, milcząc, po **ptasiej** głowie, ozdobionej lśniącymi falami **przylizanych** włosów“.

— „Miała grube, rozlane uda i czerwone, **mięsiste** wargi“.

Rzeczowość stylu osobliwie współgra z autobiograficzną formą relacji w pierwszej osobie. Nawet imię bohatera ujednoznacznione zostaje z imieniem autora, jakby dla zatarcia wszelkiej fikcyjności, dla wstrząsającego efektu dokumentarności i autentyzmu. Nic tu nie ma z subiektywizmu, nic z psychologizmu i introspekcji. Do opowiadającego „ja“ podchodzi autor z rzeczowością większą jeszcze aniżeli do pozostałych postaci. Osiąga w ten sposób dużą siłę ekspresji i nastroju, stosując metodę w gruncie rzeczy wcale nie ekspresjonistyczną.

Charakterystyka postaci odbywa się prawie wyłącznie drogą pośrednią, przez przedstawienie reakcji osób, ich wypowiedzi, nagich bez jakiegokolwiek autorskiego komentarza. Jest to **metoda behawiorystyczna**, ludzi poznajemy tu od zewnątrz, w ich działaniu i zachowaniu się (**to behave** = zachowywać się), w sposób w pewnym sensie najbardziej obiektywny.

Jest to najbardziej rasowo-epicki typ przedstawienia, ukazywać ludzi w ruchu, akcji, w grze sprzeczności. Tak właśnie ukazuje swoje środowisko Borowski. Oznacza to, oczywiście, przewagę opowiadania i dialogu nad komentarzem autorskim i w ogóle opisem. Jedynie w opowiadaniach nie obozowych natrafamy na partie o atmosferze ściślej opisowej — w opowiadaniu tytułowym, np. świat i ludzie wydają się niekiedy jakby zastygli w bezruchu. Na ogół przecież nawet pejzaż rzeczy, nie tylko psychologia postaci, odsłania się wśród ludzkiego działania.

Jedną z osobnych zalet książki Borowskiego jest, że ludzie i rzeczy doskonale współgrają z sobą na jej łamach. Poszczególne osoby wtopione są dyskretnie i przekonywająco w otoczenie, w tło lokalne i czasowe. I znowu czynnikiem łączącym, spajającym, wytwarzającym jednolity nastrój jest — kontrast. Kontrastowi bowiem psychologicznemu i socjologicznemu w przedstawieniu świata ludzi odpowiada **kontrast światła i cienia** w odtwarzaniu pejzażu rzeczy. Na tle ciemnego na ogół kolorytu wieczornego i nocnego, światłocień jest zwycięski w obrazowaniu Borowskiego, wyczulenie nań niezwykłe. Możnaby cytować ustępy jedne piękniejsze od drugich. Ot, najbliższy z brzegu, z opowiadania tytułowego:

„Za oknem, za spalonym domem, na szerokiej przedzielonej skwerem ulicy, jeździły ze zgrzytem tramwaje. Elektryczne błyski rozświetlały fiolet nieba, jak odpryski z sinego pożaru magnezji przebijały się przez mrok, oblewały księżycowym światłem dom, ulicę i bramę, ocierając się o czarne szyby okienne spływały po nich i bezszelestnie gasły. Chwilę po nich gasł również wysoki, cienki śpiew tramwajowych szyn“. (8—3).

Wstrząsające wrażenie uzyskuje Borowski posługując się metodą światłocienia w zakończeniu „Pożegnania z Marią“. Z drzwi sklepu widzi Tadeusz wieczorem, jak wśród zatoru na zakręcie ulicy:

„Motocykle wytoczyły się zza aut i oświetliły reflektorami jezdnię, tramwaje, trotuar i tłum. Reflektory prześlizgnęły się po twarzach ludzkich jak po zbielałych kościach; zajrzały w czarne, ślepe okna mieszkań; ogarnęły jarzącą się zielonymi lampionami zatrzymaną w pół taktu karuzelę z chwiejącymi się na linach pstrokatymi końmi na biegunach, łabędziami o łagodnie wygiętych szyjach...

Reflektory wymacały też na aucie policyjnym „twarz Marii, otoczoną szerokim rondem czarnego kapelusza... białą jak wapno“. Gra światłocieniem podkreśliła tu jedną z tragedii ludzkich, wydobyła cały dramatyzm opowiadania, pełnię jego nastroju. **Techniką jak w nowoczesnym** filmie stworzono obrazy przypominające atmosferę dramatycznych w swej ekspresji płócien Goyi, również poświęconych wojnie. W opowiadaniu „Bitwa pod Grunwaldem“ tą samą metodą ukazany został w świetle rakiet na tle nocy cały patos obozowiska z tłumami polskimi, rzucanymi przez historię.

Debiut Borowskiego jest świetny, choć w zgodzie z zwykłym rozwojem pisarskim — zaczyna od opowiadań. Na nowele brak mu jeszcze dosyć zwięzłości i właściwej temu rodzajowi dramtycznej konstrukcji. W tym wieku nie pisuje się też jeszcze dużych dzieł epickich. Talent Borowskiego każe jednak oczekiwać po nim osiągnięć co raz wybitniejszych. Ma on niejedną cechę w swym pisarstwie, pozwalającą zestawić go z tragicznie zgasłym Zbigniewem Uniłowskim. Kto wie, czy Borowski nie wypełni nadziei wiązanych niegdyś z nieodżałowanym prozaikiem 20-lecia ?

EDMUND MISIOŁEK

*) Tadeusz Borowski: „Pożegnanie z Marią“. Opowiadania. Sp. Wyd. „Wiedza“. 1948. Str. 180.

JANINA ZABIERZEWSKA

W NIESKOŃCZONOŚĆ

Świat wypełniony po brzegi światłością.
Błękitną tajemnicą morze złączone z niebem.
W odblaskach nieskończoności
spokój i wyzwolenia tchnienia.

Jest się nieokreślonym punktem.
Horyzont jest olbrzymi, większy od własnego istnienia.
Małoważny jest smutek
w zakiętych ukryty cieniach.

Fala błyszcząca stopionym metalem
brunatnym dotknięciem u brzegu przyklęka.
— Jestem na brzegu. A może mnie nie ma wcale, —
pusta muszla na piasku — muszla o pustym dźwięku.

Trzeba pojąć te słowa proste, najprawdziwiej.
Są jak krater ognisty w zastygłej ścianie milczenia —
— jak rozpalony metal — morze — w słońca przypływie,
metal... metal... — a przecież metalu nie ma.

Jest tylko świat wypełniony światłością
i tajemnica błękitna na morzu i niebie
i myśl wzlatująca z nieskończonością
do Ciebie —

BIAŁE NOCE NAD MORZEM

Noce są białe i jasne.
— Jest tylko krótkotrwała mroczność po północy,
jakgdyby ktoś brwi zmarszczył
w cichej zadumie oczu —

Niby ślepiec po morzu krąży niewiadome
aby nagle znienacka, niewidzialną dłonią
przenikliwym, poufałym dotykiem
zbudzić wspomnienia, które za mną gonią.

Lecz nie odczuwam lęku,
choć myśl krąży w kółko jak ptak zamknięty w klatce.
Uczucie moje — światło księżyca
drogę do Ciebie wyznacza.

Nie muszę wysilać pamięci
aby odnaleźć wśród nocy tła
obraz przeszłego pięknego wieczoru
albo poranka w białych mgłach —

Noce są tu białe i jasne —
biały zalew po pogodnym dniu —
Światła wspomnień — w promieniach księżycowych,
nie zmieszczę w treści słów.

Teraz jest już po północy.
A myśl w niewiadome jak ćma w płomień leci —
Jest cisza — tylko morze dyszy w rytmicznym, głębokim poszumie.
— ja jestem rybą w sieci....
słyszysz? rozumiesz?

NOTATNIK WYBRZEŻA

Staraniem Miejskiego Wydziału Oświaty, Kultury i Sztuki w sali ZZK odbyła się akademia ku czci Janusza Korczaka, autora książek dla dzieci (i dorosłych) i o dzieciach, lekarza, opiekuna sierot, pedagoga i przyjaciela najmniejszych, wiernego im, aż poza bramy Treblinki... Tę świetlaną postać człowieka przypomnieli w swych wspomnieniach dr. Asnes i dyr. Królikowski. Obaj znali go osobiście, słowa ich o nim miały wewnętrzny żar, szczerość i prostotę. Właśnie tak należało przypomnieć tego prostego i zawsze bezpośredniego człowieka — bez zbędnej oficjalności. Recytacje uczniów szkoły RTPD i piękna gra p. Dołgowej były dobrym dopełnieniem uroczystości. Ale... Pozostanie dla mnie tajemnicą dlaczego nagle przyszło komuś na myśl, żeby w czasie wykonywania przez p. Dołgową jednego z utworów urządzić kwestę. Powstały w tym momencie hałas, nie było objawem kultury.

Wieczór tańca, pieśni i muzyki, urządzony przez OKZZ na odbudowę Warszawy był właściwie festiwalem związkowych zespołów Szczecina. Skoro już pozwalam sobie grymasić, można by wieczór ten porównać do olimpiady, tak przeciągał się w nieskończoność. Okazało się jednak, że prócz orkiestry radiowej mamy w Szczecinie dwie niezłe orkiestry dęte ZZK i pocztowców, że całkiem miły zespół taneczny potrafili stworzyć pracownicy przemysłu budowlanego, że znanemu już chórowi ZZK „Hejnał" przybył rywal w postaci chóru ZZ Bankowców, że postępy robią nasi rewelersi, niefortunnie nazwani „Piątką szczecińską", że wreszce wśród związkowców znalazło by się napewno więcej niż dwoje obiecujących solistów. Co mi się najbardziej podobało — to że przewodniczący OKZZ był wszędzie, wszystkiego osobiście doglądał, sam gdzie trzeba dołożył ramienia. To ładnie, to dobry przykład. Oby znalazł jak najliczniejszych naśladowców.

Jeszcze jednym przykładem do jak pięknych rezultatów dojść może praca amatorów był mały festiwal siedmiu zespołów milicyjnych. Z występu zespołu Kom. Powiatowej Słupsk można wyrobić sobie zdanie nawet o tamtejszym teatrze. Wystawienie „Szkiców węglem" nosiło wyraźne piętno dobrej roboty scenicznej, może nawet nie tylko dobrych wzorów, ale ścisłej współpracy teatru z amatorami. A jak sprawa wygląda u nas? Wyrazy uznania należą się nie tylko kierownikomi zespołów, a w szczególności odtwórcy roli Wawrzona ob. Henrykowi Uptasowi. Zespół słupskich milicjantów pobiła Kom. Wojew. M. O. wystawiając doskonale i z werwą satyrę polityczną Mitkowskiego „Podżegacze wojenni". Trzecie miejsce zajął zespół M. O. z Łobezu za wystawienie „Siódmego października". I znowu ktoś musiał coś zepsuć. Aż wstyd powiedzieć. Takie skecze jak „Satyr" czy „Podejrzana osoba" i tak przygotowane mogły pojawiać się wówczas, gdy „Kurier Szczeciński" drukował niezapomnianą „Zieloną granicę", ale nie teraz kiedy wydaje już swój 1000-ny numer! Albo: kto poradził innemu znów zespołowi fragment „Upadku Paryża" Erenburga zatytułowany „Matka" aktualizować „na współczesno" przenosząc akcję strajkową do Warszawy w czasy „Głosu Ludu" i „Wolności"?!

Pozdrowienia
Dla Czytelników
Maja Dąbrowska
Sigena
25 IX 48

„Czytelnikowską" akcję „autorów u swych czytelników" otwarła na naszym terenie Maria Dąbrowska. Autorka „Nocy i dni" odczytała znane nam z „Odrodzenia" opowiadanie „Piękny, letni poranek", naszkicowane w czasie okupacji a wykończone w tym roku. Rozważania nad rodzajem artyzmu pisarskiego Dąbrowskiej, jego cechami charakterystycznymi — przerasta ramy „Notatnika". Zaciekawiły mnie szczególnie wypowiedzi Dąbrowskiej — w wątlej dość — dyskusji, jaka nastąpiła w drugiej części jej weczoru autorskiego. Podkreśliła ona swój przyrodniczy stosunek do życia. Takie „bytowe" ujęcie zjawisk życia tłumaczy zdaniem autorki podejście do wsi i proletariatu chłopskiego w „Ludziach stamtąd". Na zarzut, jeśli tak można wyrazić się, że w tomie tym nie ukazana została klasowość ludzi z czwo raków, pełniejszą niż na wieczorze odpowiedź dała autorka w przedmowie do drugiego wydania „Ludzi stamtąd", w którym mówi, że chodziło jej „o proletarlusza, którego istotą — jak może zresztą istotą człowieka w ogóle — nie jest wcale „być", a przeciwnie — wyjść ze swojego „bycia". Taniej retoryki próżno by szukac w prozie Dąbrowskiej. Natomiast porywa ona prostotą i głębią zarazem analizy człowieka, obserwacji jego uczuć i myśli Odczytane opowiadanie było doskonałą tych cech ilustracją. W rozmowie z publicznością autorka wspomniała o dawnych związkach łączących ją z naszymi terenami, a datującymi się od czasów drukowanej w „Bluszczu" pracy o wyprawie Krzywoustego na Pomorze. Tym boleśniej odczuliśmy zawód, jaki spotkał Dąbrowską w Szczecinie. Sala ZZK była ledwie w jednej trzeciej wypełniona publicznością. Cisnęło się natarczywe pytanie, gdzie wieczór ten spędzała młodzież, jej wychowawcy (Dąbrowska brała udział w tym ruchu), działacze związkowi, spółdzielcy, szczecińscy intelektualiści, i „oficjaliści" kultury. Czyżby rzeczywiście w Szczecnie istniała tylko tak cieniutka warstewka ludzi interesujących się literaturą?

Następnego dnia Maria Dąbrowska była gościem „Klubu 13-tu Muz". Odbyła się tu ożywiona i niezwykle ciekawa dyskusja, w której znakomita pisarka, odpowiadając na pytania, mówiła o swojej twórczości, o wrażeniach z jej licznych bezpośrednich spotkań z publicznością na wieczorach autorskich, o współczesnej poezji, malarstwie i muzyce.

Miesiąc pogłębienia przyjaźni polsko-radzieckiej zapowiada się w tym roku szczególnie okazale. Nad jego organizacją na terenie Szczecina i województwa czuwa specjalny komitet, który opracowuje szczegółowy kalendarzyk imprez. Rocznice bitwy pod Lenino i Wielkiej Rewolucji Październikowej będą obchodzone uroczystymi akademiami. Przygotowuje się szereg imprez artystycznych publicznych, we wszystkich szkołach i zakładach pracy; niektóre z nich tak zostaną opracowane by mogły odwiedzić miasta prowincjonalne i majątki PNZ. Przewidziane są również gościnne występy kilku znakomitych artystów radzieckich. Szczecin objęty został ogólnokrajowym festiwalem filmów radzieckich. Zobaczymy również ciekawą wystawę fotografii, dokumentów i rycin obrazujących życie i tworczość Gorkiego i Bielińskiego. Najprawdopodobniej czas jakiś zabawią w Szczecinie wędrowne wystawy osiemsetlecia Moskwy i 30-lecia ZSRR.

I kiedy już zaczynam spokojnie i równo oddychać, wpada mi w rękę ostatni (38) nr. „Odry". Na pierwszej stronie fragment trzyaktowej tragedii Brandstaettera „Przemysław II". Tragedia jest już w I akcie. Oto własnym oczom nie wierzę czytając słowa Ludgardy: „Morza zapomnieć nie można. **Z zamku mojego dziada w Szczecinie na morze patrzałam".** Można zapomnieć spojrzeć na mapę, można zapomnieć się... I zdaje się, można wymagać, by skończyć z opisami wypraw do Szczecina, przypominającymi przeprawy przez Kordyliery, by wiedzieć ile kilometrów dzieli Szczecin od morza i powiedzieć to... Ludgardzie..

W. L.

ODCZYTY W N. O. T.

W ramach akcji odczytowej N.O.T. odbędą się w październiku w Szczecinie, w sali Wojewódzkiej Rady Narodowej, 3 kolejne wykłady Leona Szechtera: 12.X — „Planowanie i finansowanie inwestycji", 19.X — „Znaczenie rachunkowości w prowadzeniu przedsiębiorstwa", 26.X—„Analiza pracy przedsiębiorstwa na podstawie bilansu". Początek o godz. 18-tej.

ARTYŚCI WYBRZEŻA NA SCENACH WARSZAWY

Kiedy wybrać się do teatrów warszawskich, nie rzadko spotyka się na ich scenach dobrych znajomych z Teatru „Wybrzeże" Iwo Galla. Widywało się tu świetnego komika **Włodzimierza Kwaskowskiego,** niezapomnianego błazna z „Jak wam się podoba". W schillerowskiej „Placówce" **Maciej Maciejewski** gra dwie role w najgłośniejszej premierze ostatnich tygodni, w „Krwawych godach" Garcia Lorca, poety granego na całym świecie i obwieszczonego niemal nowym Szekspirem. Dla dużego talentu dramatycznego Maciejewskiego przewidziana jest poważna rola w nowej sztuce Korcellego „Bankiet", u Schillera w Łodzi. Słyszało się go także z Warszawy na fali ogólnopolskiej, w słuchowisku „Szermierze", opracowanym w reżyserii Wyszomirskiego według głośnej powieści Stendhala „Czerwone i czarne". Najbardziej tymczasem odpowiedzialna rola przypadła w udziale **Renacie Kossobudzkiej,** wspaniałej Celii z „Jak wam się podoba" oraz **Izabelli Wilczyńskiej,** niedawnej Balladynie. Obydwie młode i b. zdolne artystki dublowały na przemian Elżbietę Barszczewską w roli Diany w „Fanatyzm" Słowackiego (Teatr Polski).

Jeśli doliczyć jeszcze **L. Beniot, W. Kałuskiego, M. Zbyszewską,** którzy znaleźli się w Poznaniu u Wilama Horzycy, stwierdzić można, że szkoła Iwo Galla wydaje talenty godne najlepszych ról i najlepszych scen polskich.

(em)

Dyskusje Literackie:

OD SŁOWA CIEMNEGO CHROŃ NAS...

Drugi z cyklu felietonów
p. t. „POETYKA DLA LAIKÓW"

Mówi się, że język jest poetyckim tworzywem, tym czym dla rzeźbiarza jest kamień, a dla muzyka dźwięk. To podobieństwo można rozwinąć i powiedzieć dalej, że z kamienia nie tylko rzeźbi się herosów, ale także robi się kostki brukowe, a głos trąbki inne ma znaczenie w operze Webera, a inne jako sygnał automobilowy.

Przenieśmy te spostrzeżenia na grunt językowy i weźmy na przykład słowo: „księżyc". Dla astronoma, czy w języku naukowym jest to pewne ściśle określone ciało niebieskie. Dla nas, czyli w języku potocznym, kiedy mówimy „tej nocy świecił księżyc w pełni" — jest to po prostu jasna tarcza zawieszona na niebie. Dotychczas wszystko jest w porządku, ale oto nagle wyskakuje djabeł z pudełka. Żyje bowiem wśród nas człowiek normalny chociaż poeta, który mówi, że księżyc to jest „... pełny mój kałamarz, co mi sprzedał go wędrowny kramarz..." (Gałczyński). Oczywiście, księżyc równa się kałamarz — jest to logiczny nonsens i wcale poecie nie chodzi o to, aby nas tak naiwnie bałamucić. Stąd niechęć do poezji tych wszystkich, którzy czytają ją dosłownie, tj. przypisują poetyckim słowom — znaczenie potoczne. To co powiedział Gałczyński nie obala systemu Kopernika, nie stwarza nowej prawdy naukowej — jest może wyrazem intymnej zażyłości z księżycem jako źródłem poetyckich natchnień. Poeci bowiem są zmuszeni posługiwać się tymi samymi znakami co przekupnie, referenci magistraccy i dziennikarze, ale nadają im inny, swoisty, niepotoczny sens — stwarzają w ten sposób j ę z y k p o e t y c k i.

Dzieje się to dlatego, że dla wyrażenia myśli, wzruszeń, wyobrażeń, krótko: wewnętrznych treści potrzeba daleko delikatniejszego materiału niż nasz ubożuchny i niedbały język codzienny. To tak jak ktoś kto zna nie wiele obcych słów, nie widzi w tym języku zbyt subtelnych uczuć czy głębokich myśli.

Każda wielka poezja jest tworzeniem ze starych słów — nowego języka.

Wszyscy wybitni poeci głęboko przeżywają ten zasadniczy problem literatury — problem słowa. Główne swoje zadanie widzą w rozwijaniu, potęgowaniu, tworzeniu znaczenia słów aby najdoskonalej wypowiedzieć się.

Ale są również tacy twórcy, dla których słowo oddziela się od rzeczy, nabiera fizycznych właściwości żyje własnym życiem. Poeta nie tylko myśli słowami, ale zamieniają się one na istoty, które można słyszeć, dotykać, widzieć. Doskonały przykład tej poetyckiej nadwrażliwości spotykamy u Słowackiego

... któżby, nie zajrzawszy
w krainy ducha, wiedział co to znaczy,
że jednych słów jest k o l o r w
oczach krwawszy
Inne, jakoby z tęcz wite przez tkaczy;
A drugie całą w o ń swoją wylawszy
Gdy przyjdą na t o n wieszczowi w
rozpaczy,
To w długą rymu kładą się kolumnę,
Bezwładne, ciche, jako trupy
w trumnę.

Symboliści — grupa poetów z końca XIX w. (Mallarme, Verlaine, Rimbaud, Baudelaire, Regnier i in.) którzy wywierają jeszcze mocny wpływ na poezję współczesną — rozpętali istną burzę na ten temat.

Rimbaud — wielki mag słowa i symbolizmu mówi: „Wyznaczyłem kształt i ruch każdej spółgłoski i chwaliłem się w instynktownych rytmach z odkrycia poetyckiego słowa, dla każdego dziś czy jutro staną się dostępne wszystkie znaczenia. Zapisywałem milczenie, ciemności nocne, notowałem niewyrażalne. Chwytałem zawroty głowy".

Największym zawrotem głowy jakiego doznał poeta upojony słowem jest znany sonet w którym odkrywa kolor samogłosek:

A czarne, T białe, I czerwone, U zielone
O błękitne jest. Samogłoski, chcę
tajemny
Dzień narodzin wasz śpiewać. A to
lśniąco-ciemny
Pancerz much, co brzeczą nad ścierw
cuchnącym łonem
Cień zatoki...

Epigoni postanowili ten świetny paradoks rozwinąć w system. Niejaki, dość nijaki Rene Ghil dodał do kolorów Rimbaud'a — dźwięki i odpowiadające tym dźwiękom stany wzruszeniowe. Poeci mieli się upodobnić do iluzjonistów wydobywających z pustych cylindrów — króliki. Prześcigano się w subtelnościach. Huysmans znakomity powieściopisarz, określił jakie wrażenie muzyczne budzi smak. Sens stwierdzenia, że „z" — wyraża instynkt miłości altruistycznej, a likier kminkowy odpowiada obojowi, który nosuje — przecieka nam przez palce i nie nasza w tym wina. Poeta który kochał dziewczynę w zielonej sukni obierał zieleń za symbol miłości. Poezja zamieniała się na tajemniczy szyfr osobistych przeżyć, traciła komunikatywny, ludzki sens.

Smutną schedę po anarchii symbolistów odziedziczyli dadaiści, obecnie lettryści, którzy rozbiwszy sens słów układają dziwne arabeski już tylko dla gabinetu literackich osobliwości.

To bowiem, co robił Rimbaud, było poparte jego olśniewającą wyobraźnią i talentem. U wielu następców skarlało w pedantyczne reguły i suche schematy. Słowo jak wyzwolony żywioł w balladzie Goethego — nie chciało być posłuszne nieostrożnym uczniom czarno-księżnika.

Z tego wszystkiego wyciągniemy jednak pewną naukę dla czytelnika: niech stara się wnikać w wartość słowa nie tylko od strony znaczenia, ale też od tylnych schodów, od podszewki. Niech stara się usłyszeć jego dźwięk, poznać barwę, światło i ciężar. I niech nie wstydzi się naiwnych spostrzeżeń. Jeśli strofa Słowackiego olśni go jasnym blaskiem, a w rapsodzie żałobnym Norwida usłyszy chropawy chrzęst zbrojnych — będzie bliżej poezji niż ci, którzy osłaniają swoją głuchotę literacką wiankiem uczonych frazesów.

Słowo jednak musi powrócić do macierzystego portu — do znaczenia. Jest to już problem nie tylko estetyczny ale i moralny. Nazywanie rzeczy i spraw ludzkich prowadzi do ich zrozumienia i osądu. Zwłaszcza po chaosie pojęć — poezja musi podjąć po ostatniej wojnie, po potopie kłamstw, trud odbudowy moralnej świata, przez odbudowe wartości słowa. Musimy na nowo oddzielić zło od dobra, światło od ciemności.

Dlatego finał pięknego wiersza Jerzego Lieberta jest modlitwą tych wszystkich poetów, którym poza problemami artystowskimi, nie obca jest etyczna, społeczna strona poezji —

Dmuchaj w piersi, a z twojej ręki
Niech nam płynie na płuca oliwa,
Od słowa ciemnego chroń nas.
Od słowa ciemnego wybaw.

ZBIGNIEW HERBERT

TYGODNIK WYBRZEŻA

REDAGUJE KOMITET — Szczecin, Al. Wojska Polskiego 41, tel. 21-90. Redaktor naczelny przyjmuje od godz. 10—12. Oddział GDAŃSK — GDYNIA: Komitet Redakcyjny w SOPOCIE, ul. Sikorskiego 2, tel. 523-77. Administracja Gdynia, Portowa 8, tel. 16-85. Nadesłanych rękopisów nie zwraca się. PRENUMERATA miesięczna 80 zł, kwart. 225 zł, półr. 440 zł, roczna 860 zł. Cennik ogłoszeń: 1 mm łamu szer. 63 mm w dziale ogłoszeń — 50 zł, w tekście — 100 zł, przetargi 1 mm łamu 63 mm 100 zł. Strona — 75.000, ½ str. 40.000 zł, ¼ str. 23.000 zł.

KONTA: BGS: 656, PKO: X-892.

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „POLSKIE PISMO I KSIĄŻKA" w Szczecinie Al. Wojska Polskiego 39 — Telefon 25-06 Skład maszynowy w drukarni Nr. 10, Sp. „Czytelnik" w Szczecinie. Układ graficzny i druk w drukarni P. P. K. w Szczecinie X-08587